NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 2 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor. — 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.
W Ameryce: Półrocznie 2 dol. 25 cts. — Rocznie 4 dol. 50 cts.
Zmiana adresu kosztuje 40 hal.
Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.
Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Główny skład na Księstwo Poznańskie: M. Niemierkiewicz Poznań, plac Wilhelmowski 3.

Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok XII. Kraków, 11 grudnia 1915. Nr. 50.

Legiony w polu.



Przejście Legionistów

Treść numeru: W 67. rocznicę. — Daremna ofenzywa włoska. — Rocznica Listopadowa w Królestwie Polskiem. — Z ziemi męczenników unickich. — Z zachodniego terenu wojny. — Podziemna walka. — Z dziejów polskiej tułaczki. — Misya lorda Kitchenera i t. d.

Kalendarz „Nowości illustrowanych“ na rok 1916

który ukaże się w bieżącym miesiącu, zawierać będzie następujące, obficie illustrowane działy:

Dzieje wojny 1914—1915 roku z chronologią wydarzeń wojennych,

Legiony Polskie z chronologią walk legionowych,

Na zgliszczach Polski (dokładny obraz zniszczenia wojennego miast i wsi polskich),

Polska na wygnaniu,

Literatura chwili obecnej,

Poradnik prawny (zbiór najważniejszych przepisów urzędowych, dotyczących stanu wojennego).

Kalendarz ten będzie **wydawnictwem pamiątkowem,** zawierającem **dokładne zobrazowanie obecnej wielkiej wojny światowej, zwłaszcza w odniesieniu do ziem polskich.**

Wobec ograniczonej ilości nakładu, w interesie odbiorców zwracamy uwagę, że należy spieszyć się z zamówieniami, które przyjmuje Administracya „Nowości Illustrowanych“, Kraków, ulica Kazimierza Wielkiego L. 95.

W sześćdziesiątą siódmą rocznicę.

Dzień 2. grudnia obchodziła cała monarchia w nader podniosłym nastroju, jako sześćdziesiątą siódmą rocznicę wstąpienia na tron cesarza Franciszka Józefa I.

Sędziwy Monarcha, otaczający ojcowską miłością wszystkie ludy berłu swemu podległe, w dniu tym odbierał ze wszech stron dowody przywiązania i wierności, wszystkie też warstwy ludności pospieszyły, by u stóp tronu złożyć mu swój hołd i życzenia, by długie jeszcze lata danem mu było zasiadać na tronie Habsburgów, który właśnie dzięki Jemu takim się blaskiem okrył i chwałą.

Cesarz Franciszek Józef to wzór panującego, wielkoduszność Jego znaną jest w całym świecie cywilizowanym, można też śmiało powiedzieć, że żaden z panujących nie cieszy się taką jak On sympatyą u swoich i obcych.

Dowodem jej były właśnie uroczyste obchody, urządzone w dniu tym w całym kraju i daleko poza jego granicami.

I Kraków na dzień ten przybrał odświętny wygląd, budynki rządowe, miejskie i prywatne udekorowano flagami, a w świątyniach wszystkich wyznań odbyły się uroczyste nabożeństwa.

W katedrze na Wawelu odprawił pontyfikalną mszę św. książę biskup krakowski, Adam Sapieha. Wzięli w nabożeństwie udział przedstawiciele władz rządowych i autonomicznych, wojskowości, wszystkich instytucyi i tłumy publiczności.



W sześćdziesiątą siódmą rocznicę: Przedstawiciele wojskowości i władz opuszczają katedrę na Wawelu po uroczystem nabożeństwie w rocznicę wstąpienia na tron cesarza Franciszka Józefa I

Legiony w polu.

(Korespondencya własna „Nowości Illustrowanych“).

W nieustannym pościgu za odwiecznym wrogiem narodu polskiego dotarły Legiony na ósmy już z kolei teren działań wojennych.

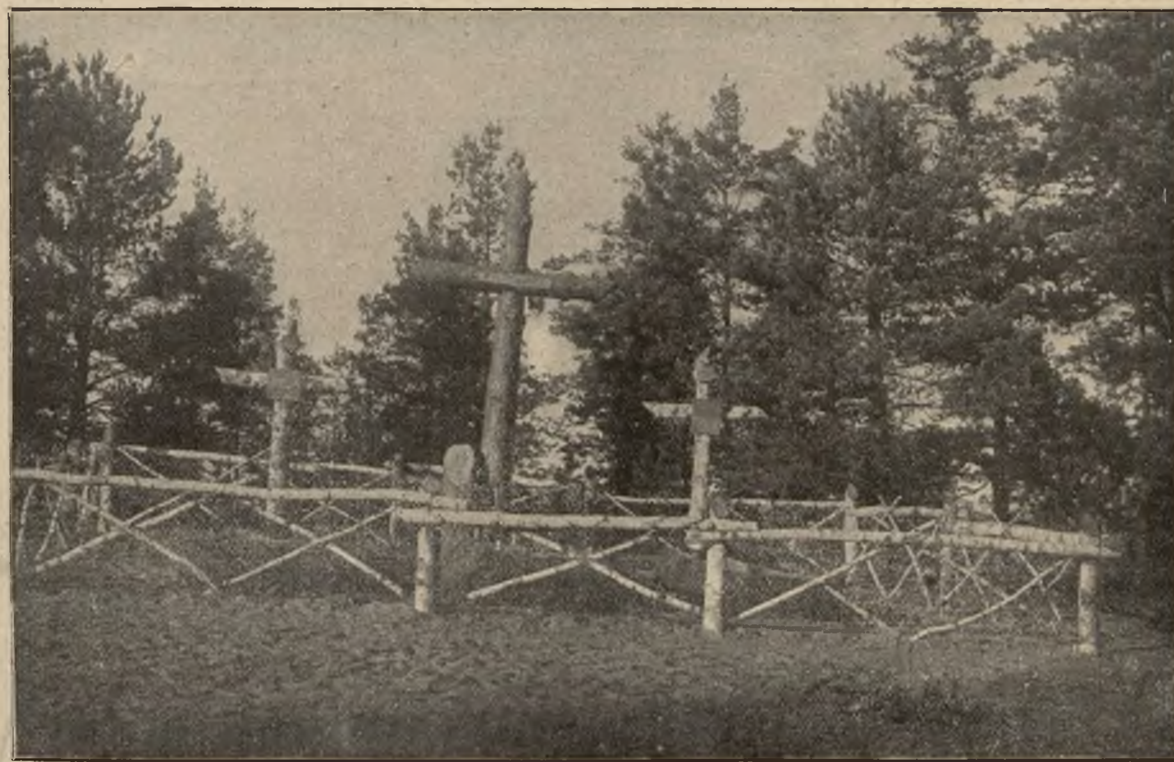
W ciągu ubiegłych szesnastu miesięcy kampanii bojowej oręż polski od krańca do krańca dawnych dzierżaw Ojczyzny święcił skuteczne nad wrażą przemocą zwycięstwa, niosąc na ostrzach bagnetów młodych bojowników legionowych wyzwolenie od jarzma moskiewskiego.



Daremna ofenzywa włoska: Włoski pocisk 28 centymetrowy, który nie eksplodował i odbiwszy się od skały, wpadł do okopów austryackich nad Soczą.

Rzecz wysoce ciekawa i ze wszech miar godna uwagi, że gdy żołnierz regularny, od lat wdrożony w karby wojskowej dyscypliny i do wytrwałości przygotowany, słusznie teraz wymaga dla dalszej intenzywnej działalności niezbędnego wypoczynku, młody ochotnik legionowy, spieszący bez wytchnienia niemal z pozycyi na pozycyę, z niesłabnącą energią i zapałem godzi w piersi nieprzyjacielskie i w szesnastym miesiącu wojny wykazał jeszcze większą sprawność bojową.

Nie jest to czcza przechwałka, bo rycerska bitność i waleczność młodych ochotników legionowych najlepszą znalazły ocenę u tych, których wprawdzie nie można posądzić o zbytni dla nas sentyment, ale którzy uznani być muszą bezwątpienia jako wybitni znawcy i fachowcy w sprawach wojskowego hartu i sprawności bitewnej. Mamy na myśli dowódców niemieckiej armii, w związku z którą od miesiąca prawie Legiony współoperują na jednym froncie. W ciągu tego krótkiego czasu przypadły oddziałom legionowym ze strony niemieckiej tak liczne pochwały, że nie naliczyliśmy ich tyle na wszystkich innych terenach działalności w ciągu pietnastu miesięcy krwawych zmagań i trudów. Dla stwierdzenia tego faktu warto przytoczyć odnośne rozkazy niemieckie, które w dosłownym przekładzie brzmią, jak następuje:



Legiony w polu: Cmentarz legionowy w lesie koło K

1) „Wszystkie wojska okazały w bitwie dzisiejszej świetne czyny. Pod przewidującem i pełnem rozwagi kierownictwem są nasze pułki wszędzie w pościgu za nieprzyjacielem. Stare braterstwo broni Austro-Węgier z Niemcami, z którem złączyli się dziś synowie Polski, dokonało nowych czynów, które na zawsze zapiszą się jako chlubne karty sławy w historyi naszych narodów.

2) „Cała grupa armii przesyła walecznym Polakom-zdobywcom głośne trzykrotne hurra“.

3) „Wyrażam Waszej Ekscellencyi (komendantowi Legionów) i mężnym Jego wojskom moje szczególne uznanie za dziarskie i dzielne zachowanie się pierwszej polskiej brygady przy zdobyciu Jabłonki, połączone ze świetnem i krwawem zwycięstwem. O postawie polskich Legionów zameldowałem naczelnemu dowództwu.

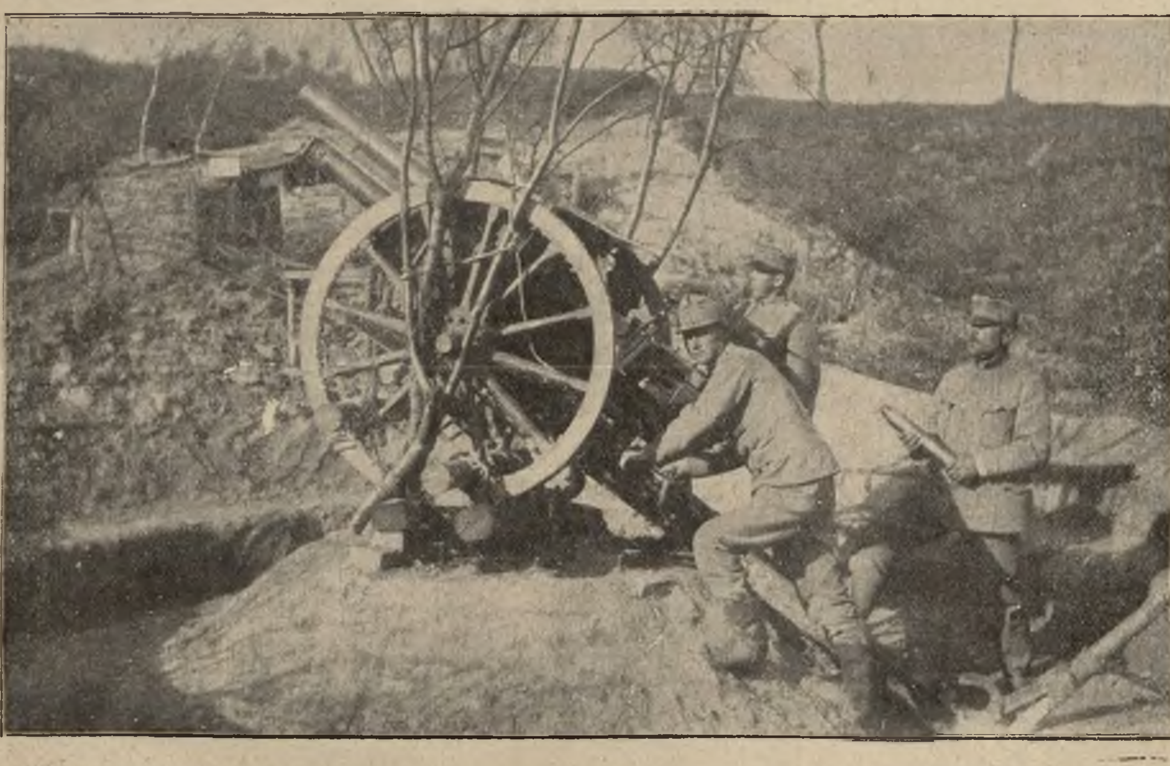
4) „W młodych Legionach polskich nie było wogóle zaginionych, wyrażam im z tego powodu moją szczególną radość.

5) „Wyrażam grupie Eksc. Durskiego jakoteż artyleryi z powodu osiągniętego dziś sukcesu moje uznanie i oczekuję, że także ostatni punkt oparcia nieprzyjaciela znajdzie się wkrótce w naszych rękach.

6) „Wojskom, które wczoraj w zwycięskim szturmie wzięły K wyrażam moje pełne uznanie i oczekuję, że pozycye te utrzymają przeciw wszelkim dalszym atakom nieprzyjacielskim. W imieniu Jego Cesarskiej Mości, cesarza Niemiec, obdarzam jenerała marszałka polnego por. Durskiego żelaznym krzyżem drugiej klasy. *Linsingen*“.

7) „Wodzowi walecznej dywizyi polskiej z powodu odznaczenia nasze najserdeczniejsze gratulacye.

8) Pobity nieprzyjaciel cofnął się za S nasi polegli i ranni towarzysze broni nie naprożno przelewali swą krew. Ich pełna pogardy śmierci waleczność i nieugięta wytrzymałość zmogły i złamały wroga. To, czego dokonała niemiecka, austro-węgierska i polska piechota, kawalerya i pionierzy, wobec znacznie przeważającego nieprzyjaciela, w nadludzkiem natężeniu i resztkami sił, w lasach i bagnach musi godnie stanąć obok najpiękniejszych czynów tej wojny. Wyrażam dowódcom i żołnierzom moją podziękę i moje pełne uznanie. Wytrwałości aż do ostatecznego zwycięstwa.



Z ostatnich walk: Ostrzeliwanie nieprzyjacielskiego samolotu

Jak na dwadzieścia dwa dni trudów wojennych dość chyba głośnych pochwał dla nadzwyczajnej postawy Legionów pod koniec szesnastomiesięcznej kampanii bojowej.

Prócz zacytowanych powyżej w oryginale pochwał osiągnięto za czas działań na znaczne także trofea wojenne w postaci zestrzelonego przez Legionistów dwupłaszczyznowego aeroplanu, zdobytych trzech karabinów maszynowych i znacznego materyału wojennego, oraz wziętych do niewoli dwunastu oficerów i około 1500 podoficerów i żołnierzy.

Imponujące te sukcesy wojenne mają niestety także i smutną stronę: dotkliwe straty w żołnierzach i oficerach, którzy waleczność i poświęcenie dla sprawy krwią serdeczną i życiem opłacili.

W przydrożnych mogiłach i na wioskowych cmentarzach tutejszych spoczęli: kap. Zygmunt Czechna-Tarkowski, por. Jan Łysek, dr. Adolf Sternschuss, Józef Klisiewicz, Sława Neuman, Józef Blauer-Kratowicz, Bronisław Haber Mansper, Kazimierz Krzyczkowski, Stanisław Załeski, dr. Edmund Szalit i chorążowie: Antoni Lejczak, Konstanty Majewski, Wi-



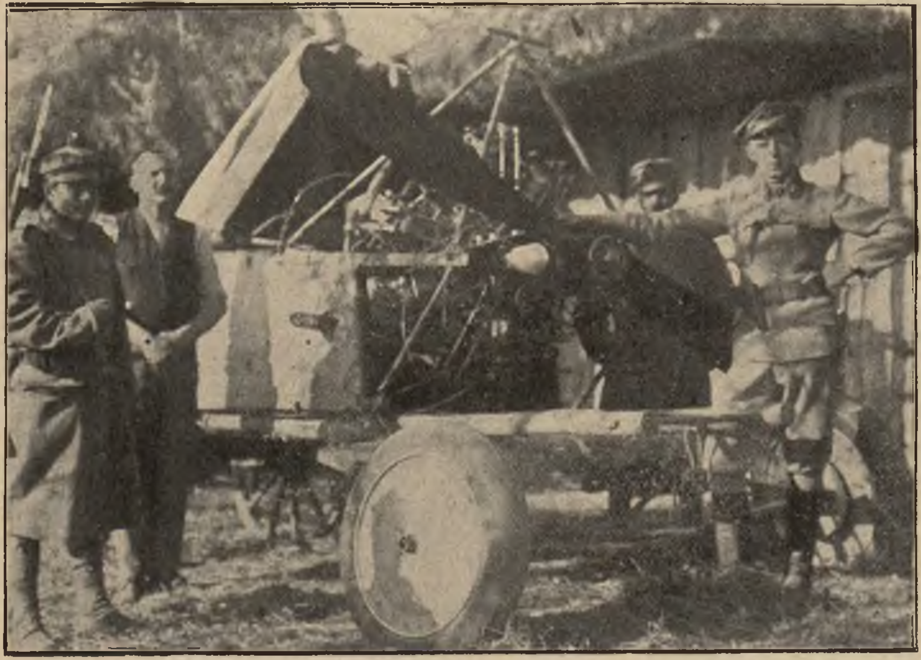
Legiony w polu: Nabożeństwo żałobne w rocznicę bitwy pod Mołotkowem przy grobach Legionistów we wsi

ktor Wolski, Władysław Nowicki, Jan Chyc, Godlewski, Jabłoński i Szumski.

Cześć pamięci dzielnych żołnierzy!

Nel.

W polu, 16 listopada 1915 r.





Legiony w polu: Rosyjski aeroplan zestrzelony przez Legionistów. Budowa kwater w ziemi. (Fot. Zygmunt Raczyński)

Daremna ofenzywa włoska.

Czego nie można odmówić Włochom, to wytrwałości, męstwa i pogardy śmierci... Bez względu na olbrzymie ofiary i dotychczasową ich bezskuteczność — armia włoska walczy z niezwykłym uporem — ponawia atak za atakiem, szturm za szturmem. Najcięższe walki od samego początku wojny austryacko-włoskiej toczą się nad Soczą. Już kilka tygodni trwa tam bez przerwy trzecia ofenzywa włoska — ciągłe ataki i szturmy, odpierane po bohatersku przez armię austro-węgierską. Nieprzerwana bitwa wre na froncie mierzącym siedmdziesiąt kilometrów, a najzaciętsze walki rozgrywają się na Doberdo — w półkolu, którem stacza się zbocze Doberda ku dolinie Soczy. Teren wznosi się tam przeciętnie na wysokość 100 metrów. Przed nim ciągnie się wstęga rzeki Soczy, za nim zieje przepaścista dolina Wallony. Cała ta przestrzeń jest niewielka: długość jej wynosi około ośm kilometrów, szerokość dochodzi do sześć kilometrów. Najwyższym punktem jest góra Monte San Michele, mająca 275 metrów wysokości.



Podziemna walka: Saper francuski przy budowie korytarza minowego.

Góra ta panuje nad całą okolicą, podobnie jak płaskowyż Dobredo panuje nad doliną Soczy i niziną Gorycyi. Płaskowyż Dobredo nie rości sobie pretonsyi do piękności. Ostre kamienie ranią rękę i rozdzierają podeszwy. Żołnierze musieli tutaj kuć i wysadzać w powietrze skały, ażeby utorować sobie drogi. Te ścieżki, wypisane na gruncie skalistym, są cudowną odą na cześć pracy ludzkiej. Ta przestrzeń Karstu jest bezwodną pustynią. Wszelką wilgoć pochłania kamień porowaty.

Wśród upałów lipcowych, gdy szalała druga bitwa nad Soczą, wojska austryackie były przez dwa dni bez wody i odpierały nieustanne ataki przeważających wojsk nieprzyjacielskich. Dzisiaj jest inaczej. Dzięki wybornym zarządzeniom władz wojskowych, żołnierze mają wody poddostatkiem, chociaż Doberdo kryje swoje wody w głębokich podziemiach.

Charakter walk i życie wojsk austro-węgierskich na froncie włoskim opisuje barwnie korespondent „Berliner-Tagbl.". Odchodzą — pisze — kompanie za kompanią. Na twarzach maska gotowości na śmierć — tragiczna maska grecka. To nowy typ ludzi z San Michele. Spoglądam za nimi. Kto z nich wróci? Wschodzi blady księżyc, świadek tylu walk krwawych. Pomiędzy staremi gwiazdami błyskają nowe: białe i zielonawe kule świetlne. Czerwienią płoną wyloty rur działowych. Ciężkie samochody przejeżdżają szybko — wiozą na stanowisko moździerz trzydzieści i pół centimetrowy. Musiano dla tego olbrzyma budować nowe drogi. Pracuje około przewożenia stu ludzi, a noc szybko zapada. Maszyna o sile 120 koni ciągnie ten ciężar, wynoszący 30.000 kilogramów. Ziemia ugina się pod kołami, które często obracają się wstecz.

Drogą naprzeciw nam idą wojska. Były na San Michele przez całe dnie. To Rumuni. Wracają znużeni, uginają się pod ciężarem plecaków. Wracają, ażeby wypocząć. Walczyli we dnie i w nocy. Nie cofnęli się ani o krok. Teraz są znużeni — oczy mają na pół przymknięte. A potem samotrzeć idą ranni i chorzy. Na zboczu góry wsie skartaczowane: Oppacchiasella, Devataci, Cotici. Wyglądają, jak widma w świetle księżyca. A potem znowu droga, podziurawiona granatami.

Wśród głębokiej ciszy posuwamy się dalej. Tu każdy głos może zdradzić. Tutaj w bezprzykładnej mściwości czyhają na siebie dwaj przeciwnicy. Tutaj walki są bardziej zażarte niż na froncie rosyjskim. Zjawiły się najosobliwsze środki walki: rury żelazne, długie na kilka metrów; torpedy powietrzne, bomby gazowe, granaty ręczne. Zdarzają się położenia, w których jedynie humor jest ratunkiem wobec tego piekła.

Rocznica Listopadowa w Królestwie Polskiem.

Królestwo Polskie, które tyle krwi wylało w walkach o niepodległość, które tylu ofiarami przypłaciło



Rocznica Listopadowa w Królestwie Polskiem. Nalepka ku czci bohaterów 31 r. rozlepiona w Olkuszu.

krwawe, lecz świetlane karty naszych porozbiorowych dziejów: rok 1831 i 1863 — nie mogło dotychczas jawnie obchodzić pamiątki tych nierównych bojów. Dopiero teraz, gdy obecna zawierucha wojenna wygnała rosyjskich ciemiężycieli z ziemi polskiej — po raz pierwszy, w pamiętnym roku 1915, Królestwo Polskie na obszarze, zajętym przez wojska austro-węgierskie, mogło złożyć uroczysty hołd swym bojownikom w walce z niewolą rosyjską. We wszystkich też miastach okupacyi austryackiej odbyły się w dniu 29. z. m. obchody rocznicy powstania Listopadowego, które stały się tam podniosłą, głęboko przemawiającą do serc polskich uroczystością. Najwspanialszy przebieg miały naturalnie te uroczystości w większych ogniskach, w Piotrkowie i w Lublinie, ale i w najmniejszych miasteczkach nie zapomniano o rocznicy i złożono hołd bohaterom 31 roku. — Między innemi odbył się obchód Listopadowy i w Olkuszu, gdzie obok innych uroczystości urządzono illuminacyę kartkową. Illustracya nasza przedstawia właśnie artystycznie wykonaną nalepkę, którą uczczono w Olkuszu pamiętny dzień 29. Listopada.

JÓZEF LASOŃ.

BOHATER.

(Prawo przedruku zastrzeżone.)

Sądzisz, że stanie przed tobą człek silny, jak niedźwiedź, o szerokich barach, muskularnych rękach, postać nowożytnego Herkulesa, który gnie w twardej dłoni sztaby żelaza, uderzeniem pięści wołu kładzie na miejscu — aby go nazwać można bohaterem i aby czynu, godnego tej nazwy, dokonał.

I zdziwisz się okrutnie, dziecka postać zoczywszy; stoi przed Tobą, w siwy mundur ubrany, na piersiach chlubna oznaka żołnierska zawieszona — medal. Nie złamie ci on w wątłych, drobnych dziecka dłoniach podkowy, nie zabije uderzeniem pięści wołu — ale dokona czynu, którym chlubi się cały naród, kartę historyi Polski złotemi pisze słowami. To pacholę — krew polska — legionista drugiej brygady.

— — — — — — — — — — — —

Wstąp w porze obiadowej w gmach departamentu wojskowego, wejdź do sali jadalnej, stań ukradkiem, by oko biesiadnika nie dostrzegło Cię, zobaczysz srogie żołnierskie postacie, przysłuchasz się niejednej ciekawej opowieści.

Zobaczysz, jak obsiedli stoły, poschodzili się z rozmaitych komend, biur wojskowych, rozmaitej broni koledzy, bo choć na etapie obecnie, każdy swój mundur strzeże i chroni. Ten ci Beliniak, wysoki, w czaku ułańskiem dość pociesznie wyglądający, za nic nie wdzieje innej czapki, gdyż mimo, że obecnie skazany do służby etapowej, w duszy spisek knuje, że lada chwila ucieknie „do swoich“, bo służba etapowa, u niego — nic. I tak każdy. Zebrała się ta mieszanina wszystkich pułków, batalionów, przy departamencie służbę mając. Służba liniowa wyczerpała ich, a etap — to odpoczynek żołnierski. Nie masz ci większej serdeczności i przyjaźni, jak między nimi, ani też zdrowszego humoru. Rozparł się Beliniak przy stole, patrząc na zajadającego wściekle artylerzystę, śmiejąc się rubasznie, mówi do niego:

— He! Dobre żarcie! „W cywilu“ kolega nigdy tego nie jadł.

Salwa śmiechu przy stole i już ci inni pochwycili i drugim przy stole dogadywać.

W pewien dzień zawitał do stołu chłopczyna mały, rozpiął kurtkę, na piersiach mignął srebrny medal waleczności. A że serdeczność między nami jest — toć i języki pracować poczęły, aby się dowiedzieć, kto on, jak. gdzie i za co, odznaczony.

Ot, króciutka historya, jak setki i tysiące innych:

— Pierwszego czerwca 1915 roku — począł opowiadać Maciuś — wyruszyliśmy zza Prutu do ataku. Po trzykroć nocą szturmem chcieliśmy wziąć pozycye moskiewskie, dopiero za trzecim razem udało nam się przerwać linię Moskalom. Z rannym brzaskiem następnego dnia, z pułkownikiem Zielińskim na czele, ruszyliśmy naprzód. Kozactwo pierzchło przed nami, paląc i rabując, cokolwiek w ręce ich wpadło. Czwartego czerwca przybyliśmy do wsi R., zabierając kilkanaście wozów trenowych i trzy wozy amunicyjne. Zapowiedziano nam odpoczynek trzygodzinny, rozdano zdobyte rosyjskie konserwy i chleb, poczem nastąpił odmarsz w linii tyralierskiej, w kierunku Rokitny. Nie zdołaliśmy przejść dwóch kilometrów, gdy nagle odezwały się salwy artyleryi rosyjskiej, jak również karabiny maszynowe. Powoli i ostrożnie posuwamy się naprzód, wtem padają dwa pociski armatnie. Zostałem ranny w pierś, wraz z czterema obok mnie maszerującymi kolegami. Podniosłem się z ziemi, ogłuszony, spostrzegłem rannych, wijących się w bólu kolegów i spojrzałem na mój mundur. Był na piersiach poszarpany, strzępy były pokrwawione. Rozglądam się wokoło, linia tyralierska posunęła się dość daleko odemnie, bez namysłu prawie pospieszyłem naprzód. Gdy przypadli do ziemi, podbiegłem mimo gradu kul i złączyłem się z kolegami. Sięgnąłem ręką do kieszeni, aby wydobyć bandaż, przypadkowo wyleciał mi notes. Podnoszę go, w środku zabłąkana kula, która przeszyła mi piersi, utkwiła w tekturowej okładce. Podziękowałem Bogu, i na głos komendy podsunęliśmy się pod pozycyę nieprzyjacielską. Znów silny ogień artyleryi, padamy plackiem, szybko okopując się. Nadeszła noc ciemna, na dwa kroki przed sobą nic nie widać. Zamyśliłem się nad dziwnem mojem ocaleniem, nagle wezwał mnie komendant kompanii, abym się stawił do pułkownika Januszajtisa.

— Weź, sobie Maciek — dał rozkaz pułkownik — czterech ludzi, idź na patrol pod okopy rosyjskie, masz się podsunąć jak najbliżej — rozumiesz?...

— Według rozkazu! — wyciąłem ostro obcasami, wybrałem z mojego plutonu czterech ludzi, wyruszyłem natychmiast w drogę.

Ostrożnie doszliśmy do płynącego opodal potoku, za którym były już okopy moskiewskie. Nagły szmer zwrócił nam uwagę. Wyjrzeliśmy zza górki — ognisko jakieś palili. Spoglądamy w milczeniu, wychylając głowę, gdy nagle straszny huk ogłuszył mnie, siła wybuchu powaliła na ziemię! Moskale urządzili nam niespodziankę. Trzech moich kolegów trupem padło, czwarty ciężko ranny wił się z boleści. Niewiele myśląc, przekładam karabin przez ramię i biorę rannego pod rękę, ciągnąc go pomału ku ścieżce, aby się ochronić od gęsto padających kul. Nagle zrobiło się jasno, jak w dzień i mój towarzysz dostał kulę w głowę. Wypadł mi z rąk. Nic nie słyszałem, byłem tem tak oszołomiony, nie zdając sobie sprawy z niczego. Dźwięczało i szumiało mi w uszach, pochwyciłem karabin w ręce, chcąc nawrócić ku swoim. Zdala zobaczyłem nasze wedety, szedłem jednakże naprzód, nie słysząc głosu zatrzymujących mnie wartowników. Doszedłem o jakie cztery kroki od wedety, bzyknęła mi kula koło uszu. To nasza wedeta wystrzeliła. Przypadłem ku ziemi i na moje szczęście zaraz nastąpiła zmiana placówki, która mnie zabrała z sobą. Zaprowadzono mnie do pułkownika Januszajtisa, zdałem obszerny raport, pisząc na kartkach papieru, gdyż chwilowo straciłem słuch i mowę. Po dwóch dniach leżenia w lazarecie odzyskałem słuch i mowę, natychmiast zameldowałem się do kompanii. No i 27 lipca zostałem dekorowany srebrnym medalem drugiej klasy, gdyż wywiad mój okazał się dobrym — kończył ze śmiechem mały Maciuś — niestety, w niedługi czas potem, 17-go września, zostałem znowu ranny pod Rokitną...

— — — — — — — — — — — —

To pacholę — polska to krew — żołnierz drugiej brygady — bohater.

BEZIMIENNI.

Gdzieś tam pośród śnieżnych gór karpackich, pośród pustynnych stepów Bessarabii, na żyznych ziemiach Królestwa Polskiego — pochowano żołnierskie ciała, wraz z nazwiskami. Wiedziano, że ktoś dokonał bohaterskiego czynu, śmierć objęła go zimnym uściskiem, pochowano, lecz kto, zapomniano. Długi wieniec ciągnie się po przez Polskę rycerskich czynów — bezimiennych bohaterów — plon. Nie znajdziesz ciała w grób rzuconego — trawa porosła na kurhanach — nie wygrzebiesz nazwiska z otwartych kart historyi — wspomni jedynie czasem stary jego druh, lecz i jemu niepamięć zagubi imię, nazwisko.

— — — — — — — — — — — —

Roku pańskiego 1914 żołnierz-Legionista drugiej brygady, pacholę, które uciekło z pod skrzydeł matki, przez parę miesięcy walk zahartowało się na trud i bój, stało się dzielnym żołnierzem, marząc ciągle by urosło tak duże, aby większe było od z ochotą niesionego karabinu, zabłądziło do Nadwórny, nie wiedząc, że rozsiedli się tam Moskale. Podchodzi do pierwszej chaty, wyszła przeciw niemu stara kobieta i rzekła:

— Uciekajże, uciekajże! Moskale u mnie w chacie!

— A wielu ich? — przerwało pacholę.

— Ośmiu!

— E... ośmiu, to głupstwo! — nałożył błyskawicznie bagnet na karabin, wkroczył do chaty śmiało i zabrał ośmiu niewolnika, chłopów rosłych, tęgich.

Odprowadził jeńców, oddał w ręce przełożonych, sam znikł w kompanii. Utonęło jego nazwisko — pozostał jednak czyn, który przejdzie z ust dziada do ust wnuka.

Ze kilku Legionistów opierało się nieraz batalionom rosyjskim, świadczą o tem Krzywopłoty, szereg walk na ziemiach Królestwa i śnieżne Karpaty i pustynna Bessarabia. Jak jeden z kapitanów z dwoma szeregowcami bronili okopów, wyszli z walki zwycięsko i cało, za co zostali obdarzeni złotymi medalami, jak przy atakach walczono pierś o pierś, kułakami, pięściami rażąc wroga — toż wiadoma powszechnie rzecz.

Na wspomnienie Sammosiery — rosło serce polskie, na wspomnienie Rokitny, szarży kawaleryi Wąsowicza — drży serce i dumą się napełnia.

— — — — — — — — — — — —

Przez dziesięć blizko miesięcy jeden z oficerów w armii rosyjskiej, Polak, usiłował przekraść się do swoich, wstąpić do Legionu, aż wreszcie udało mu się ten wymarzony cel osiągnąć.

Z jaką radością, z jaką wesołością niósł w dłoni karabin — trzeba to było widzieć.

I w pierwszej bitwie padł.

W wściekłym ataku na Moskali szedł w pierwszym szeregu, odwagą swą drugim dodawał otuchy, głuchy na świst kul karabinowych, nieczuły na błyszczące coraz bliżej ostrza bagnetów.

Ze padł, cóż? Ale okopy zdobyto, choć już zwycięstwo wymykało się z rąk Legionu... Ten, który przechylił szalę zwycięstwa, legł — spełniwszy swój żołnierski obowiązek.

Nazwisko?!

O nazwisko mniejsza! Nie odgrzebiesz go z popiołu, nie wydrzesz ciała ziemi — został czyn i karta świeża historyi.

Nie wskrzesną ciała poległych, nie dadzą im życia odznaczenia, zaszczytne pochwały, głosy uwielbienia... Ale nikt i nic nie zatrze czynu, który trwać będzie wiecznie...

— — — — — — — — — — — —

Dziwne to, a jednak najtwardsze serce żołnierskie rozpłacze się w takiej chwili, gdy malec, dziecko przychodzi i płacząc rzewnemi łzami mówi:

— Weźcie mnie w szeregi! Chcę się za Polskę bić! Weźcie mnie!

I prosi, błaga, przekonywa o swej sile i wytrzymałości, wmawia w siebie i drugich, że żołnierskie trudy zniesie — byle go tylko wziąć! Ze z rozpaczy życie sobie odbierze, a tak chciałby je na ołtarzu wolności Ojczyzny złożyć!

I to jest codzienna historya chwili dzisiejszej... Z takich dzieci rodzą się bohaterzy — często nieznani, bezimienni, których czyny jednak będą żyć na kartach historyi — czyny, zapisane krwią na pustynnych stepach Bessarabii, w śnieżystych górach karpackich i na urodzajnych, żyznych ziemiach Królestwa.

Przez ziemię polską.

(Z pamiętnika oficera).

Toczą się białemi płachtami kryte kolumny trenu przez pola zdeptane, poranione kraterami granatów, rowami strzeleckimi pokrajane...

Mijamy krzyżyki z świeżego drzewa z zatkniętą czapką żołnierską, na mogiłach przydrożnych z przedwczoraj...

Mijamy lasy, gdzie zamiast oddechu żywicy woń trupią wiatr niesie przez pnie świerków niebosiężnych, w pół złamanych siłą, od pioruna straszniejszą, bielą starganych drzazg sterczących...

Mijamy cmentarzyska czarnych kominów, pełne wśród liści rdzawych kościanego chrzęstu. Pies między gruzami ze zjeżoną sierścią chyłkiem się przesunie i ścierwo świeże odkopawszy, krwawą paszczęką targa...

Mijamy tabory bezdomnych szkieletów ludzkich przez końskie szkielety ciągnionych...

Mijamy miasta kamienne bez dachów i wież — nędzne domki i wspaniałe pałace, skąd bujna, bogata przeszłość uciekła, pozostawiając jedynie nagie, sterczące mury...

Mijamy dworki szlacheckie, życia klejnoty wczoraj, a dzisiaj wiejące pustką zgliszcza...

Toczą się wozy nasze przez pobojowiska trupami zasłane. Wśród tej pustki zniszczenia i śmierci posuwa się kolumna szara o tysiącach oczu, co w tym ponurym mroku lśnią blaskiem ogników błędnych nad moczarami...

Mijamy szubienice: na sznurze kołysze się człowiek swą bezwładnością do szaleństwa straszny...

Mijamy kościoły zburzone, gdzie Chrystus w ołtarzu cierniem koronowaną głowę niżej jeszcze pochylił, na nową mękę wydany...

Mijamy zaklętą w męczarniach Duszę Narodu, oczekującą świtu lepszej przyszłości...

A nad tem wszystkiem unosi się Bóg, w wyrokach swych niezbadany.

R. P.



Misya lorda Kitchenera: Angielski minister wojny, lord Kitchener (X) opuszcza dworzec w Paryżu.



Z ostatnich walk: W okopach.

Misya lorda Kitchenera.

Od początku wojny ze wszystkich sprzymierzeńców koalicyi w najlepszem położeniu znajdowała się Anglia: nic nie ryzykowała, a najmniej dawała. — Ona jedna też mogła poszczycić się realnemi zdobyczami, zająwszy zamorskie kolonie niemieckie. Nic dziwnego też, że Anglia traktowała przebieg wojny i jej dotychczasowe niespodzianki z prawdziwie angielską flegmą, nie spiesząc się bynajmniej z pomocą swym zagrożonym sojusznikom. Na zachodni teren, do Francyi, Anglia wysłała dotychczas bardzo nieliczne wojska, nie przenoszące pół miliona żołnierzy, z większym zato zapałem prowadziła walkę w Dardanełach, mając tam na oku swe własne najżywotniejsze interesy.

Taki stan trwał do rozpoczęcia ofenzywy w Serbii i wystąpienia Bułgaryi. Okazało się, że dyplomacya angielska na Bałkanach zbankrutowała, ponieważ i Grecya zachowywała się i zachowuje dotychczas dwuznacznie. W związku z tem niepowodzeniem dyplomatycznem przyszła klęska armii serbskiej, co z fiaskiem wyprawy dardanelskiej wytworzyło na Bałkanach nową, dla Anglii bardzo groźną



Z dziejów polskiej tułaczki: Polscy wychodźcy przed kościołem św. Kajetana w Salzburgu, gdzie codziennie odprawiane były polskie nabożeństwa.

sytuacyę. Z chwilą, gdy Serbia przestała istnieć, a państwa sprzymierzone uzyskały połączenie z Konstantynopolem, został zagrożony klucz potęgi angielskiej na południowym Wschodzie — Suez i Egipt.

Niebezpieczeństwo to zrozumieli Anglicy, ale po niewczasie. Aby skłonić Grecyę do przyjścia z pomocą Serbii i zorganizować posiłkową armię francusko-angielską, wyjechał na narady do Paryża i na Bałkany (między innemi do Aten) angielski minister wojny lord Kitchener. Jak wiemy, misya jego spełzła na niczem, a zorganizowana na prędce pomoc angielsko-francuska nie zdołała uratować Serbii. — Podróże lorda Kitchenera, z których podajemy w dzisiejszym numerze jego przyjazd do Paryża, nie zdołały odwrócić niebezpieczeństwa, grożącego obecnie już bezpośrednio Anglii.

Z dziejów polskiej tułaczki.

W dniu 21-go września r. b. ukończył swą działalność Komitet pomocy dla wychodźców w Salzburgu, zamykając czynności i biura po rocznem prawie istnieniu.



Spowiedź dla ciężko rannych Polaków w szpitalu salzburskim

Z dziejów polskiej tułaczki:



Ranni Polacy w szpitalu salzburskim.

W październiku ubiegłego roku liczne rzesze najbiedniejszych uchodźców z różnych stron kraju szukały schronienia w księstwie salzburskiem. Znalazłszy się na obcej ziemi, nie znając języka, ani stosunków dzielili los gorzki wygnania, a pierwszym, który udzielił im pomocy materyalnej i moralnej był Niemiec, artysta malarz prof. Fr. Kulstrunk, który odczuł ból i nędzę wygnańców polskich, przejrzał ją okiem artysty i zrozumiał ją, choć płacz polskiego dziecka i skarga zziębłego pacholęcia były mu w mowie niezrozumiałemi.

Wkrótce skupiła się dokoła prof. Kulstrunka garstka polskiej inteligencyi i stworzyła własny komitet uchodźczy pod przewodnictwem księżnej Andrzejowej Lubomirskiej. Dzięki doświadczonemu, pełnemu poświęcenia i twórczej inicyatywy kierownictwu szybko rosły agendy komitetu. Stworzono cały szereg sekcyi, które podzieliły między siebie pracę i opiekę nad potrzebującemi pomocy, starając się o zajęcie, posady i wsparcia.

Najczynniejszą była „Sekcya Pań“ z hr. Eugenią Skrzyńską jako przewodnicząca, a po jej wyjeździe z p. Różą Karłowską. Sekcya ta, po sprawdzeniu ubóstwa, niosła wydatną pomoc, a dzieci umieszczała w zakładach. Utworzono też na propozycyę Koła pań kursa ludowe, robót i t. d. Dalej utworzył komitet VIII klasowe gimnazyum, szkołę ludową i ochronkę, schronisko dla Legionistów (czynne do końca lipca b. r.), oraz wykłady naukowe dla inteligencyi i kursa: buchalteryi, stenografii, pisania



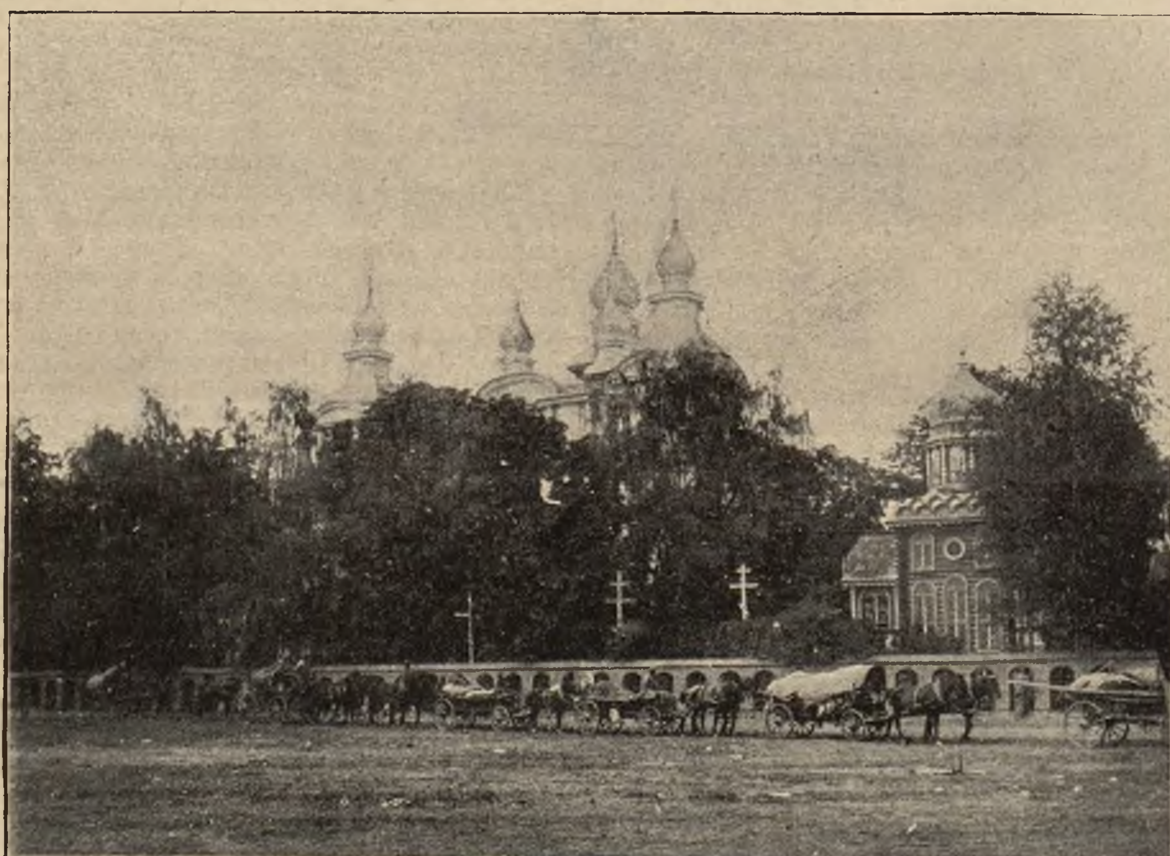
Z dziejów polskiej tułaczki: Uczestnicy zjazdu polskich Komitetów pomocy z krajów alpejskich.



Z zachodniego terenu wojny: Zbombardowana bazylika w Brébières.

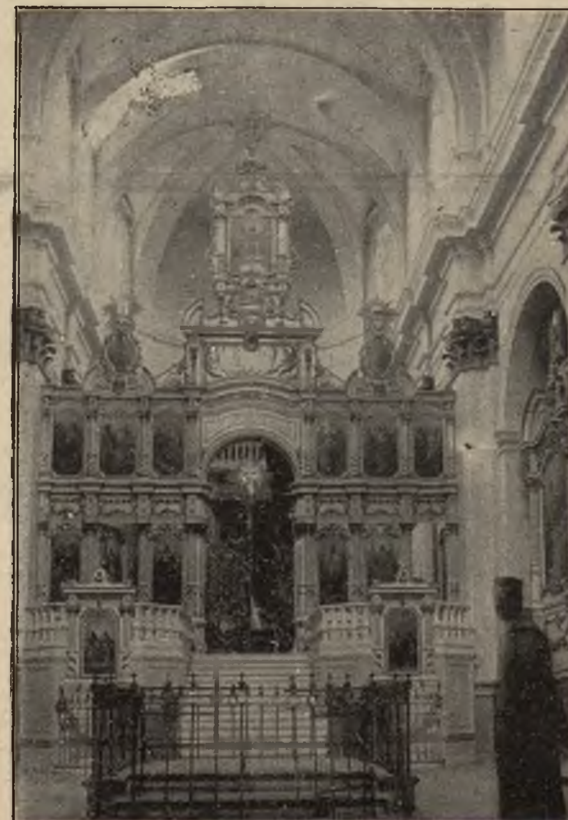
na maszynie, modniarstwa, kroju, szycia, ogrodnictwa, kwiatów sztucznych oraz bezpłatny kurs koronek i robót klockowych i artystycznych, prowadzony przez hr. Eugenię Skrzyńską i p. Różę Karłowską. O wynikach kursów świadczyły wymownie urządzane wystawy. Kursa te dały szereg fachowo uzdolnionych pracownic.

Pod opieką komitetu były też wszystkie szpitale, gdzie znajdowali się ranni Polacy. Gorliwie odwiedzały panie rannych żołnierzy, niosąc im prócz pociechy także pomoc materyalną. Słowem stwierdzić można, że „Polonia“ w Salzburgu stworzyła wielką rodzinę, której komitet był troskliwym opiekunem.



Z ziemi męczenników unickich: Były klasztor O. O. Paulinów w Leśnej, zamieniony przez Rosyan na „monastyr“ prawosławny.

Wypadki, wywołane ofenzywą naszych wojsk, zmusiły część inteligencyi do powrotu, powróciła też do kraju księżna Lubomirska — komitet zaś prowadził pracę dalej pod przewodnictwem Róży z ks. Ponińskich Stanisławowej Karłowskiej. Uzupełniony, a uszczuplony Zarząd miał pracy znacznie więcej, niż w poprzednich miesiącach, gdyż rzesze biednych wychodźców bynajmniej nie zmalały, a potrzeby ich wzrastały. Zaopatrzenie setek w ubranie, bieliznę i obuwie, starania o powrót do kraju, szczepienie ochronne przeciw ospie i cholerze i wszelkie końcowe czynności wymagały ogromnego nakładu



Z ziemi męczenników unickich: Wnętrze kościoła O. O. Paulinów w Leśnej, zamienionego przez Rosyan na cerkiew prawosławną.

pracy. Że zaś Zarząd wywiązał się z tego zadania znakomicie, że nie pominął nikogo, należy mu się publicznie gorące uznanie i podzięka.

Duszą komitetu była p. przewodnicząca, kierując pracami i obradami energicznie, interesując się osobiście każdą sprawą, wglądając w każdą potrzebę i spiesząc wszystkim z pomocą, radą i czynem. Dzielną jej pomocnicą była p. Helena Jakubikowa, przodująca wszystkim gorliwością, znająca dokładnie wszystkie agendy komitetu, czynna nieustannie, powszechnem też wśród tutejszych wychodźców darzona zaufaniem i szacunkiem. Uznanie należy się także gorliwej sekretarce p. Anieli Wojewskiej oraz nieocenionemu skarbnikowi p. majorowi Sewerynowi Zagórskiemu, jak i wszystkim innym członkom Zarządu, z których każdy w swym zakresie pracował po obywatelsku.

Zamykając swe czynności, złożył Zarząd osobiście i pisemnie podziękowanie przedstawicielom władz i osobom prywatnym, od których komitet doznawał poparcia, a członkowie Zarządu żegnali się ze szcze-





Z dziejów polskiej tułaczki: Ranni Polacy w szpitalu salzburskim z proboszczem parafii polskiej w Salzburgu ks. kanonikiem J. Dziedzicem.





Z dziejów polskiej tułaczki: Ranni żołnierze-Polacy i ich opiekunki w Salzburgu

rym żalem na ostatniem posiedzeniu, na którem wręczono przewodniczącej adres pożegnalny.

Z dumą patrzeć też można na pracę całoroczną salzburskiego komitetu, który swą działalnością dał jeden więcej dowód siły ducha i zdolności organizacyjnych, a polegając przedewszystkiem na siłach własnych, stworzył i utrzymywał życie polskie na wychodźctwie.

Um.

Z ziemi męczenników unickich.

Dziś, gdy Rosyanie musieli opuścić Królestwo Polskie — znikły rychło ślady ich rusyfikacyjnej gospodarki. Pozostały tylko widome znaki ich barbarzyństwa i gwałtów na ziemi męczenników unickich — kościoły zamienione na cerkwie. Jedna z takich tragicznych pamiątek z czasów, kiedy to rosyjscy działacze „nawracali“ na prawosławie zapomocą nahajek, przedstawia nasza illustracya. Jest to były klasztor O. O. Paulinów w Leśnej zamieniony na „monastyr“ prawosławny, w którym ognikowała się agitacya prawosławia i rusyfikacyi na Chełmszczyźnie.



Z ostatnich walk: Piechota rosyjska rusza do szturmu.

Podziemna walka.

Obecna wojna wprzęgła do swego rydwanu wszystkie wynalazki i zdobycze techniki. Walki toczą się dziś nietylko na lądzie i morzu, ale w powietrzu, pod wodą i pod ziemią. Gdy łodzie podwodne dokonały zupełnego przewrotu w walkach morskich — sprowadzając nieraz do zera wartość bojową najpotężnieiszych okrętów — aeroplany stają się coraz groźniejszym przeciwnikiem zarówno na lądzie, ale także i na morzu.

Wobec udoskonalenia artyleryi, która gradem żelaza niszczy wszystko na swej drodze, zmienił się również zasadniczo charakter walki na lądzie. Walczące armie chronią się w okopach, pod ziemią, prowadząc tak zwaną walkę pozycyjną. Żołnierze wychodzą na powierzchnię ziemi tylko w chwilach



Z ostatnich walk: Opuszczony rosyjski rów strzelecki na Wołyniu.



Z zachodniego terenu wojny: Atak angielskiej piechoty.

ataku lub kontrataku. Przy takim systemie walki, chodzi walczącym o to, aby jaknajbardziej przybliżyć swe rowy strzeleckie. Okopy zbliżają się niekiedy tak bardzo ku sobie, że żołnierze walczących armii słyszą wyraźnie swe głosy. Wtedy też zazwyczaj nastaje chwila, kiedy dalsze posuwanie się okopów, (przy pomocy poprzecznych rowów) jest niemożliwe, bo oprócz szrapneli, mitraliez, granatów zaczynają szerzyć zniszczenie ręczne bomby. I tu właśnie nastaje moment rozpoczęcia walki podziemnej, t. j. budowy podziemnych korytarzy, przez które zakłada się miny pod pozycyami nieprzyjacielskiemi.

Walka podziemna coraz częściej jest stosowana w obecnej wojnie, zwłaszcza na froncie francusko-



Obrazki wojenne: Na wedecie.

niemieckim. Celem tej walki jest zrobienie wyłomu i wprowadzenie zamieszania i dezorganizacyi w szeregi przeciwnika w tej samej chwili, kiedy zastęp żołnierzy wyrusza do ataku. Jest to ofenzywa podziemna, podkopywanie się pod pozycye przeciwnika, zakładanie min pod jego stanowiskami, lub w najbliższej od nich odległości — i powodowanie wybuchu nagromadzonych w kotle minowym materyałów eksplodujących w decydującej chwili rozpoczęcia walki. Zasadniczo ofenzywa podziemna rozpoczyna się wtedy, gdy dalsze posuwanie okopu na powierzchni ziemi jest już niemożliwe. Od najbardziej wysuniętych rowów okopowych kopie się podziemną galeryę pochyłą ku pozycyom przeciwnika. Zrazu jest ona tak wysoka, że żołnierz stoi w niej wygodnie, potem zniża się i zwęża coraz bardziej, aż wreszcie zmienia się w kanał minowy, zakończony kotłem, w którym spoczywają środki wybuchowe. Praca niesłychanie trudna i żmudna. Z pomocą taczek lub wózka na linie usuwa się wykopaną ziemię, składając ją w szerszej części galeryi do chwili ponownego zasypywania gotowej już miny.

Do podpalenia używa się bądź przewodu elektrycznego, bądź lontu, przeprowadzonego korytkiem po przez przybitkę miny. Wybuch działa, oczywiście, w kierunku najmniejszego oporu, to jest na warstwę ziemi, oddzielającą kocioł minowy od nieprzyjacielskiego okopu. Ponieważ eksplozyę wywołuje się w chwili, gdy armia rusza już do ataku, więc atakujący znajdują wyłom już gotowy, otwarty bezpośrednio przed nimi, a pozbawiony obrońców przez niszczącą siłę wybuchu. Zanim zaś nadejdą posiłki z dalszych linii okopu na zagrożone miejsce, zanim zaczną stukać mitraliezy, zdobywcy mogą już umocnić się częściowo w nowej pozycyi i wykorzystać jej zasłony i urządzenia przeciwko dotychczasowym posiadaczom.

Lecz i przeciwnik wie, co mu grozi. I dlatego czuwa, przedsiębiorąc bądź defenzywę podziemną, bądź kontratak podziemny. Każda galerya minowa, budowana pod okopem, rozgałęzia sie na szereg kanałów, dążących ku przeciwnikowi. Tylko jeden z tych kanałów służy do założenia miny, inne są niby ogromne podziemne słuchawki do badania machinacyi przeciwległego okopu. Podobnie, jak straż w rowie okopu, tak i tutaj, pod ziemią, dzień i noc nasłuchują żołnierze specyalnie do tej służby wykształceni, czy nieprzyjaciel nie zaczyna kopać miny, czy gdzie w oddali nie odezwie się uderzenie łopat, lub oskardów. Nie łatwe zadanie takich nasłuchiwaczy. Straszną dźwigają odpowiedzialność. Wsłuchawszy się w podziemne szelesty, muszą określić dokładnie kierunek robót nieprzyjacielskich, odległość, szybkość postępów. Omyłka, wynosząca tylko centimetry, może się pomścić straszliwie.



Z zachodniego terenu wojny: Ostrzeliwanie nieprzyjaciela ze zdobytego rowu



Podziemna walka: W zdobytym okopie na zachodnim terenie.

MICHAŁ MORPHY.

KRWAWE MILIONY.

Tłum. z francuskiego MARYA SEGENY.

22

— Do pioruna! — syknął apasz, pochylając się nad stołem! Na mój honor! Delrue i ta mała blondynka! Poczekaj trochę! Zaraz się z nimi porachuję!

— Nie rób tego, stary!

— Gadaj zdrów. Mnie tu już niema.

Barykada jednym susem był już przy drzwiach. Ale Totor prześlizgnął się koło niego jak wąż i złapał za rękę.

— Nie rób głupstw, stary waryacie! Nie miałeś to dosyć więzienia? Chcesz, żeby cię znowu przygwoździli?

Barykada na te słowa uspokoił się w jednej chwili.

— Bądźmy ostrożni — szeptał dalej Totor. — Oni i tak nam nie ujdą. Wyjdźmy cicho i idźmy za nimi. Czeka nas pewna i dobra gratka.

Totor pociągnął za rękę nie opierającego się apasza i zaczął się ostrożnie skradać za oddalającym się Delrue i jego towarzyszką. Przeszli w ten sposób kilka ulic, poczem wsiedli do omnibusu, następnie do pociągu idącego do Wersalu.

Tutaj doznali silnego wzruszenia. Delrue i Janina le Brenn zamiast, jak przypuszczali, udać się na wycieczkę za miasto, czekali na pociąg idący do Bretanii. Ukryci o kilkanaście kroków, Barykada i Totor śledzili każdy ruch ściganej pary. W chwili, kiedy pociąg już miał ruszyć, ku ogromnemu ich zdumieniu, do przedziału wskoczyła sama tylko młoda dziewczyna. Delrue zaś uśmiechnięty i zadowolony skierował się ku miastu, pogwizdując wesoło i nie przeczuwając nic złego.

Gdy przechodził wąską, ciemną uliczką, prowadzącą do głównego skweru, wyłoniła się nagle z za jakiegoś muru skulona postać małego chłopca.

— Dobrodzieju łaskawy — zaczął prosić jękliwym głosem. — Matka moja umiera z głodu, poratuj nieszęśliwego.

— Odejdź, bo zawołam żandarma — obruszył się niecierpliwie Delrue.

— Żandarma? Kto potrzebuje żandarma — zabrzmiał tuż przy nim donośny, ochrypły głos.

I zanim się Delrue opamiętał, ciężka ręka spadła na jego ramię, przygniatając go prawie do ziemi. Z drugiej zaś strony mały żebrak uczepił się jego ręki i krzyczał zjadliwym głosem:

— No, odpędź mnie teraz od siebie! Spróbuj tylko!

Delrue, nieprzytomny z przerażenia, chwiejąc się na nogach, obejrzał się, chcąc wołać ratunku. Lecz już ręka Barykady spoczęła brutalnie na jego ustach i głos zduszony ostrzegająco szepnął mu do ucha:

— Nie waż się krzyczeć! Jedno słowo, jeden krzyk a już będzie po tobie. Ścisnę pod gardło jak kurczaka.

Delrue mało nie oszalał z trwogi, poznawszy głos apasza. Wiedział, że teraz już nic go z jego rąk nie wydobędzie. Bez słowa więc, bez tchu dał się biernie pociągnąć w zaułek jakiś, czując zaciskające się coraz silniej potężne ręce Barykady na swoich ramionach.

Obok nich biegł Totor, rzucając przenikliwe spojrzenia wokoło siebie.

— Teraz rozprawimy się obydwa — mruknął Barykada, stając nagle.

— Aha! — przytaknął Totor, złem okiem patrząc na drżącego przeciwnika. — Niech teraz gada! Niech się tłumaczy.

— Po pierwsze — mówił spokojnie Barykada — gdzie moje pieniądze?

— Pieniądze — wybełkotał Delrue.

— Zapomniałeś, bratku. Czekaj, przypomnę ci.

— Nie trzeba, pamiętam wszystko.

— A widzisz.

— Czego chcecie odemnie?

— Moich pieniędzy — ryknął zniecierpliwiony Barykada.

— Nie mam przy sobie, ale jutro.

— Aha! jutro — pisnął Totor — tak będzie, jak wtedy, kiedyś na nas policyę sprowadził.

— Przysięgam wam, że nie było w tem mojej winy — tłumaczył się pokornie Delrue. — Policya nadeszła niespodziewanie, szukała całkiem kogo innego.

— Tak? a znalazła nas... zresztą to możliwe — odparł Barykada — ale mnie nie o to teraz chodzi. Dawaj pieniądze.

Delrue zrozumiał, że uparty apasz nie odstąpi bez niczego. Odetchnął głęboko i wyrzucił jednym tchem:

— Dostaniesz je, przysięgam, że dostaniesz!

— Kiedy?

— Dostaniesz podwójną sumę, rozumiesz! Płacę podwójnie przez wzgląd na tego biednego Kudłacza. Nie pięć, ale dziesięć tysięcy!

— Dziesięć?! Dobrze, zgadzam się — rzekł Barykada już łagodniej — ale gdzie one są?

— Pewnie, że trzebaby najpierw zobaczyć papierki, a potem gadać — podsunął Totor, skacząc, jak małpa, koło swojej ofiary. — Gdzie one są, kochanku?

— W banku, na placu Giełdy.

— Och! coś się psuje, mój mały! Uważaj tylko, czy ty z nas nie żartujesz? — ostrzegł surowo Barykada.

— Myśli, że my tacy głupcy, jak on sam!

— Jeżeli chcecie, możecie mnie na krok nie opuścić i iść ze mną.

— Pewnie, że chcemy! Dobry sobie, myślał, że go wypuścimy z ręki! Zapominasz, z kim masz do czynienia, kochanku!

— Ależ nie! przeciwnie, skoro ciebie potrzebuję jeszcze — odpowiedział uprzejmie Delrue.

— I dlatego podwoiłeś cenę?

— Pewnie, za dobrą robotę, dobra zapłata.

— Dobrze powiedziane, ale ja twojej zapłaty dotąd jeszcze nie widziałem.

— Nie mogłem się z tobą obrachować.

— Nie mogłeś! Proszę! Trzeba było pieniądze przynieść zaraz po sprawie. Porządny człowiek inaczejby nie zrobił!

— Kudłacz był dobrym towarzyszem. Bylibyśmy z nim zawsze doszli do porozumienia. A zresztą nie udało nam się.

— Z twojej winy.

— Z mojej winy? Nigdy w życiu. Powiedzcie lepiej, z winy tego Kermora. Widziałeś go w gabinecie sędziego.

— To twój pryncypał!

— Oh! Nie w tej robocie, wierz mi. Wręcz przeciwnie.

— Więc dlaczego przeszkodziliście nam wtedy obydwa?

— To on sam. Ja nie.

— Hm! Umywasz ręce od wszystkiego. I co dalej?

— Wychodziliśmy z jakiegoś balu! Hrabia dosłyszał krzyk kobiety wzywającej ratunku... i poleciał. Chciałem temu zapobiedz, ale się nie udało!

— Wiadomo, że nie wiele potrafisz. Ale to wszystko, co tu gadasz, nie wyjaśnia nam wcale, dlaczego jesteś w takich dobrych stosunkach z tą małą, która ci zawadza.

Delrue, który wyszedł dotąd obronną ręką, przeląkł się, że teraz wpadnie, bo apasz nie uwierzy w jego wywody i weźmie go za zdrajcę.

Na szczęście Totor, który czuł do niego jakąś okrutną zawiść i podchwytywał każde jego słowo, oddalił się na chwilę, wypatrując, czy nie grozi im jakie niebezpieczne spotkanie.

— Z tą małą — zaczął Delrue, starając się mówić swobodnie — to cała kombinacya. Ona stoi na przeszkodzie pewnemu małżeństwu.

— Cóż wielkiego! Trzeba ją usunąć!

— To łatwo do powiedzenia.

— Toby było już zrobione, żebyś był siedział w domu, z tym swoim głupim hrabią, zamiast nam leźć w oczy.

— Przyznaję, że przypadek nam tu zaszkodził. Mam pecha, niema co mówić.

— Jak się coś raz nie udaje, próbuje się raz jeszcze...

— Kudłacz już nie żył, a ty...

— A no tak, przymknęli mnie. Ale towarzysze? Ci dla ciebie nie robią, co?

— Nie znałem dosyć pewnych dla takiej roboty, a zresztą, żeby ci prawdę powiedzieć, bałem się.

— To do ciebie podobne, mój zuchu!

— Nie mogąc więc pozbyć się tej przeszkody, wysłałem ją daleko. Uczyniłem to właśnie dziś wieczór.

Przy tych słowach złośliwy uśmiech przemknął po bladych ustach Andrzeja Delrue. Pochylił się do ucha Barykady i szepnął znacząco:

— Uważasz stary, maleńkie, zręczne pchnięcie... ocean głęboki i niemy, nie zdradzi... na brzegach morza tak łatwo o wypadek.

— Pewnie — mruknął apasz — To zabawka dla mnie. Słuchajno Totor — zawołał szeptem na znajdującego się przed nimi chłopaka.

Totor jednym susem był już przy nich.

— Pracujemy dalej z panem Delrue — objaśnił Barykada. — Będziemy zmuszeni wkrótce popłynąć nad morze i zabawimy się tam nieźle.

— Doskonale! Bardzo lubię słone kąpiele!

— Pewnie! Szczególniej kiedy w nich skakać będzie mała żabka, co nam przyniesie pieniądze.

— Kto taki?

— Ta mała blondynka. Pan nam ją powierza.

— No, przecież. Winniśmy jej trochę opieki za tę nieudaną próbę. I za biednego Kudłacza zapłacić należy. Pogadamy z panienką jak należy.

— Tak, zapłaci nam za Kudłacza, biedny chłop! — szepnął Barykada wzruszonym głosem — I kiedy to zrobimy, panie Delrue?

— Choćby jutro, jeżeli chcecie! Oddaję ci ją do dyspozycyi, Barykado.

— To zawcześnie jutro. Ale jakoś się to zrobi. Wszystko musi być zapłacone w naturze, albo pieniędzmi. Kudłacz zapłacił życiem, takich rzeczy darmo się nie puszcza!

Barykada stopniowo nabierał zaufania do Andrzeja Delrue i zadowolony był bardzo z tego spotkania. Od takiego „żywiciela", tak bowiem nazywają apasze człowieka, który im daje zarobek do ręki, wymaga się tylko szczerości w robocie. Otóż do tej pory, Barykada był pewnym, że Delrue nie zdradził ich przed policyą, a to przekonanie wystarczało, aby go podnieść w jego oczach. Co zaś do „tej małej", ona teraz zapłaci za niepożądaną zwłokę, zapłaci za wszystkich; tak już być musi z samego porządku rzeczy. Barykada myślał o jej śmierci z spokojnem postanowieniem.

— Słuchamo, Delrue — mruknął apasz, wypuszczając z rąk ofiarę, popatrzno mi prosto w oczy.

Andrzej Delrue, drżąc z przerażenia, gdyż chodziło tu jeszcze o jego życie, usiłował swobodnie i pewnie spojrzeć na Barykadę.

— Dobrze — rzekł tamten. — Zdaje mi się, że nie kłamiesz i sprawa z tą małą naprawdę leży mi na sercu. Jutro na giełdzie dasz mi moje dziesięć tysięcy, a ja się podejmuję użyć twoim strapieniom. Już się o jej przyszłość nie potrzebujesz troszczyć, jest już postanowiona. Jak się nazywa i gdzie mieszka.

— Janina le Brenn, mieszka w Roche-Kermor, osadzie rybackiej w Bretanii.

— Zrobione. I ty naprawdę, bez namysłu mi ją powierzasz?

— Z radością, mój stary.

— Dobre! Dawaj grabę.

Andrzej Delrue wyciągnął rękę do apasza, który ujął ją w silnym uścisku i wyrzekł poważnie.

— Przyjaźń albo śmierć! — pamiętaj!

Barykada mógł być całkiem spokojnym. Delrue nie czuł w sobie żadnej ochoty do zdrady. Byłby dołożył z ochotą jeszcze kilka tysięcy, aby raz na zawsze być zwolnionym od zmory duszącej go w osobie Janiny le Brenn.

Barykada wypuścił z dłoni rękę Andrzeja i wyrzekł, uśmiechając się przyjaźnie:

— Że nie masz przy sobie tych pieniędzy, to całkiem zrozumiałe, mój mały. Nie spodziewałeś się spotkać ze mną — prawda?

— To prawda, ale niemniej przez to czuje się uradowany.

— Mądre słowo! Tem lepiej, porozumimy się, jak widzę, Delrue i nie na ten raz tylko. Wiesz, z Barykadą trafisz zawsze do końca, jak będziesz milczał jak karp i uczciwy w interesie. Ale może ty masz trochę pieniędzy przy sobie? Taki pan, jak ty, przecież bez centa nie podróżuje.

— Mam niewiele, pięćset albo sześćset franków.

— Daj mi à conto. Zaraz ułożymy program, co się zowie. Oto, co proponuję: Zanocujemy w lesie, a Totor skoczy po jakie wiktuały — a jutro wracamy razem do Paryża. Co? podoba ci się? Reszta ciebie znowu obchodzi.

Pomimo więc całego zaufania, jakiem go Barykada obdarzył, Delrue czuł, że jest jego chwilowym więźniem i zakładnikiem, w razie niedotrzymania umowy. Aż cierpł na samą myśl, coby się z nim stało, gdyby nie był w możności wypłacenia mu obiecanej sumy.

Totor, uszczęśliwiony z tej nocnej wyprawy, poskoczył, gwiżdżąc wesoło, ku miastu, dzwoniąc pieniędzmi, jakie mu wręczył Barykada.

— Mam przeczucie, że się ładnie zabawimy — rzekł apasz, uderzając Andrzeja Delrue w ramię, aż ten się ugiął ku ziemi. Masz ochotę napić się czegoś, mały?

— Pewnie — odparł Delrue — noc jest zimna i czuję jakieś łamanie w kościach.

— Zagrzejesz się zaraz. Wino w Wersalu doskonałe, piłem je już nieraz. Potem zdrzemniemy się trochę. Nie potrzebujesz się niczego obawiać. Potrafię spać jak kot, z jednem okiem otwartem.

Drugiem, przyjacielskiem uderzeniem w plecy przewrócił towarzysza i sam rzucił się obok niego na trawę. W godzinę później powrócił Totor, niosąc tryumfalnie olbrzymią pieczeń wołową, pasztet

i wątróbki, dwa bochenki chleba, krążek duży sera i kilkanaście butelek w koszyku.

Rozpoczęła się uczta, trwająca do późnej nocy. Kiedy po kilkugodzinnym wypoczynku przebudzili się, dzień już był szary. Noc ta, spędzona pod gołem niebem, nie wywarła żadnych skutków na apaszu i jego małym towarzyszu. Barykadzie wydała się wspaniałą po twardej pryczy w dusznem i ciasnem więzieniu. Ale Delrue nad ranem czuł się bardzo nieszczęśliwy i przybity. Wstał z wilgotnej ziemi, wyciągając przemarznięte i zesztywniałe członki, krzywiąc się przytem niemiłosiernie. Lecz po wypiciu ostatniej butelki wina, zaraz się uczuł silniejszym. Z uczuciem silnego zadowolenia przypomniał sobie, że dzień ten przyniesie mu uspokojenie niemałe.

— Idźmy do miasta — zaproponował Barykada — i weźmy omnibus do Paryża.

Gdy doszli do stacyi, Barykada i Totor wygramolili się na imperiał, zapraszając Andrzeja Delrue. Tenże choćby był wolał umieścić się w środku i odpocząć trochę po trudach nieprzespanej nocy, musiał pójść za ich wolą.

— Znajduję się w ładnem towarzystwie — myślał Delrue, dygocząc z zimna w cienkiej swojej zarzutce letniej.— Ja, Andrzej Delrue, finansista i człowiek zaufania markiza de Kermor.

Zgrzytał ze złości zębami, pocieszając się myślą, że wszystko to skończy się już prędko i na zawsze pożegna niemiłe mu towarzystwo apaszów.

Wysiedli pod Luvrem i stąd pieszo udali się na plac Giełdy.

Totor, który rzeczywiście bardzo podejrzanie wyglądał w swojem połatanem ubraniu i wystrzępionych butach, został uproszony przez Andrzeja Delrue, aby towarzyszył im w przyzwoitej odległości, niosąc pod pachą niebieską bluzę Barykady. Tenże zaś, w ubraniu swojem w kraty i sztywnym kapeluszu miał wygląd dosyć przyzwoity i mógł uchodzić za porządnego robotnika lub mniejszego kupca idącego za interesami do miasta. Mógł więc od biedy towarzyszyć Andrzejowi Delrue aż do okienka kasowego, nie zwracając na siebie uwagi.

Kiedy weszli do kantoru, Totor pozostał przed drzwiami, śledząc bystrem okiem przechodniów. Sprawa Delrue załatwioną została szybko i dobrze. Bogaczowi takiemu, jakim już on był, kasyer nie może odmówić zaawansowania tak drobnej sumy, jak kwota dziesięciu tysięcy franków. Delrue podpisał podsunięty mu kwit i zgarnął pieniądze. Lecz już olbrzymia ręka apasza położyła się na nich pewnym i stanowczym ruchem.

Delrue zbladł, lecz nie śmiał oponować.

— Oto wszystko, co się panu należy od pana Smitha? — zapytał na pozór spokojnym głosem.

— Ni mniej, ni więcej — odparł Barykada, ładując szybko banknoty do kieszeni surduta.

— A więc załatwiliśmy już sprawę?

— Tak, dziękuję panu.

Wyszli razem. Delrue był bardzo niezadowolony, iż w kantorze patrzono na tę scenę i komentowano już może jego znajomość z kolosem, Barykada zaś był taki wesół i uradowany, iż z przyjemnością byłby popełnił jeszcze jedną zbrodnię, aby zasłużyć sobie na tak sowitą nagrodę.

— To było zrobione dla pana Smitha — rzekł, kiedy znaleźli się na ulicy — trzeba o tem pamiętać na przyszłość, Barykado.

— Tak, pamiętam — odparł tamten dobrodusznie — dla pana Smitha, a ja jestem tylko jego zastępcą.

— Nie możesz na niego narzekać, prawda?

— Wcale nie! Porządny człowiek.

— I pewny.

— Polecam się jego łaskawej pamięci — zaśmiał się apasz. A teraz już cię puszczę od siebie, kochanku. Zasłużyłeś sobie na trochę wolności.

— A ty Barykado idź do swojej roboty. Nie prędko znajdziesz takiego, co ci wypłaci z góry.

— Wiadomo. Bywaj zdrów stary.

Delrue uścisnął rękę apasza i z westchnieniem ulgi udał się do swojego mieszkania.

— — — — — — — — — — — — — —

Interesa markiza de Kermor szły świetnie; w przeciągu kilku dni, suma, którą operował na giełdzie, podwoiła się znacznie, a że grał otwarcie, przypuszczano ogólnie, że popierany jest przez barona de Bressien i wielu jego znajomych poszło za jego przykładem. Tylko tak samo markiz, jak i inni nie przypuszczali ani na chwilę grając, że gra ta pociągnie ich do ruiny. To, co bankier de Bressien kombinował i wywoływał od szeregu miesięcy i lat, teraz nagle urzeczywistniało się ku szalonej jego radości. Delrue zaś, który interesami tymi tak umiejętnie pokierował, rósł co dzień w łaskach u markiza i stawał się mu z dniem każdym potrzebniejszym.

Z prawdziwym więc żalem markiz przyjął prośbę swojego plenipotenta, pragnącego jak mówił uwolnić się na dni kilka, aby módz pokonferować ze wspólnikiem swoim, panem Smithem z Londynu. W gruncie rzeczy zaś Delrue zamierzał w dniach tych na zawsze Paryż opuścić.

— Rozumiem dobrze, mój młody przyjacielu — odpowiedział markiz życzliwie — że chcesz się uwolnić od podrzędnego stanowiska jakie zajmujesz u mnie, przykro mi jednak, że będę cię zmuszony stracić. Sądzę jednak, że pozostaniemy zawsze w stosunkach ze sobą, gdyż pragnę być pierwszym klientem założonego przez ciebie banku.

— Zaszczyt to niemały dla mnie — odparł uśmiechając się Delrue — Pan markiz zanadto łaskawy, naprawdę.

— Dosyć, dosyć, mój drogi. A gdzież to myślisz bank twój założyć? W jakiej dzielnicy?

— Oczywiście tylko na placu Giełdy.

— Doskonale! Wiesz co ci doradzę, umieść się naprzeciw pałacu Giełdy, to będzie najlepiej. Ale, prawda, przypominam sobie w tej chwili, że widziałem w rachunkach twoich, panie Delrue, czek na pięćkroć sto tysięcy franków i jestem tem odkryciem nadzwyczajnie zdziwiony.

— To ten czek, który podjąłem na mój podpis, mając rozliczne rachunki do załatwienia w czasie nieobecności pana markiza. Mogę się wykazać...

— Ale co znowu, mój kochany. Chcesz wiedzieć, dlaczego cię o to pytałem? Dlatego. aby ci czek ten podarować.

Delrue nie posiadał się z radości. Pochwycił rękę markiza i uścisnął ją serdecznie.

— Ah! panie markizie! doprawdy nie wiem, jak okazać moją wdzięczność. Nie spodziewałem się nigdy tego!

— Mogłeś się spódziewać, mój Delrue. Rady twoje dane mi w sprawie akcyi kopalnianych, warte są o wiele więcej i nie zapomnę o nich w przyszłości. Ta drobnostka, to na twoje urządzenie, na ozdocenie liter napisu, który figurować będzie na twoim banku. „Andrzej Delrue“ bankier. Prawda jak to będzie ładnie wyglądać.

Andrzej Delrue uśmiechnął się z zadowoleniem. On napis ten widział teraz w dzień i w nocy przed swojemi oczami.

— Ale teraz dosyć o tych poważnych rzeczach — przemówił markiz de Kermor po chwili. — Jak stoi sprawa z Janiną le Brenn?

— I z tej strony udało mi się dosyć szczęśliwie — odpowiedział swobodnie Delrue.

— Widziałeś ją pan?

— Widziałem i wyprawiłem.

— Och! czy być może! Argumenta pańskie musiały być dosyć silne, skoro ją tak prędko przekonać zdołały.

— Nie bardzo. Była w mocy policyi i zrozumiała łatwo, że najlepiej uczyni, wydalając się z Paryża.

— Była w mocy policyi?

— Tak. Siedziała nawet w więzieniu przez wzgląd na jej prowadzenie się zanadto rozgłośne.

— To dziwne! Dziewczyna taka cicha i pracowita.

— Umiała się maskować!

— Ależ to była prostota sama!

— Wszyscy sądzili w ten sam sposób i ulegli jej komedyi... Markiza, hrabia Henryk... A teraz znajduje się na razie w Roche Kermor, gdzie będzie mieć dosyć czasu do rozmyślania nad sobą.

— Z czegoż tam żyć będzie?

— Wręczyłem jej sakiewkę z oszczędnościami. Osłodzi jej chwile przymusowej samotności, a może stanie się łupem jakiego podejrzanego Don Juana, z którym zapragnie się pocieszyć.

Markiz bacznie spojrzał na mówiącego z poza złotych binokli. Wyraz niesmaku i niechęci osiadł na jego twarzy.

— Zdaje mi się, że przesadzasz pan, panie Delrue. Ona nie mogła upaść do tego stopnia!

— Jest gorzej, niż pan markiz przypuszczać jest w stanie. To natura do gruntu zepsuta i fałszywa.

— Zadziwiające! W jej życie musiał się wmieszać jakiś nędznik, który w ten sposób wpływa na nią.

— Albo też kilku — podkreślił Delrue niewzruszony z akcentem wściekłej nienawiści i pogardy.

Na drugi dzień opuścił on pałac markiza de Kermor i przeniósł się tymczasem do jednego z większych hoteli, mieszczących się na bulwarze.

— Koniec już upokorzeniom moim — mówił do siebie z radością. — Droga otwarta przedemną i żyć mogę nadal wedle upodobania. Pozbyłem się szczęśliwie apaszów, Janiny le Brenn i wolny jestem, jak ptak. Nie mam już żadnego pana nad sobą, ani wspólnika, ani przyjaciół. Sam sobie zupełnie wystarczę. Baron de Bressien nie przypuszcza ani na chwilę, kto będzie jego następcą.

Stan zdrowia bankiera był ciągle jeszcze nie bardzo pomyślny. Siły jego zanikały z dniem każdym, pomimo gorących starań Sydonii i lekarzy. Żył, a właściwie wegetował, w półmroku wszelkich władz umysłowych, pogrążony w zupełnej apatyi i bezczynności ciała i duszy. Człowiek ten o niegdyś genialnej energii i umyśle żywym, stał się obecnie istotą bezwładną, niezdolną do jednej jaśniejszej myśli i rozumowania.

Sydonię stan ojca wprowadzał w rozpacz bezgraniczną. Ojciec jej, który potrafił przewidzieć w życiu wszystko, cokolwiek mu grozić mogło, oddalał dotąd skutecznie wszelkie groźby i niebezpieczeństwa, nie przewidział tylko tej ostateczności, jaka na niego spadła i stał się wobec niej bezradny, jak małe dziecko. Przypominała sobie, jak mówił jej niegdyś, iż w razie jakiego nieszczęścia lub pożaru powinna starać się tylko uratować zawartość ogniotrwałej kasy. Lecz z chwilą, z którą ojciec jej pozostawał na miejscu w ciągłej styczności ze swoimi klientami, rady tej uskutecznić nie mogła. Trzeba było czekać na łaskawszą chwilę, a tymczasem groziła ostateczna katastrofa. Klienci na wieść o chorobie bankiera zjawili się wszyscy w jego pałacu. Prasa rozpisywała się szeroko o nieszczęściu, spadłem na barona de Bressien i wszyscy oczekiwali gorączkowo rozwiązania całej kwestyi.

Pośród swoich klientów i sprzymierzeńców bankier miał kilka osób, które wierzyły w niego, ale cóż, kiedy dzisiaj de Bressien, złożony ciężką niemocą, tracił wszelką wartość w ich oczach. Niezdecydowani i przerażeni, klienci ci wycofywali spiesznie swoje kapitały, lękając się o ich utratę.

Naczelny dyrektor banku wydał rozkaz wypłacenia wszelkich wkładek i sum złożonych w banku, ale przy tej czynności przekonał się prędko, że kasa była prawie pusta. Zwrócił się więc natychmiast do panny Sydonii. Bankierówna odpowiedziała, że należało trwać na stanowisku wszelkiemi siłami, dopóki ojciec zdrowia nie odzyska. Pewnego dnia zrewidowała sumiennie kasę ogniotrwałą. Znalazła w niej czeki, akcye państw różnych i pewną sumę pieniężną. Wszystko to umożliwiało ucieczkę z kraju w razie nieszczęścia i było jedyną wielką rezerwą, na którą w danej chwili oboje z ojcem liczyć mogli.

Gdyby de Bressien był w pełni swoich władz umysłowych, byłby rozkazał córce swojej zabrać te wszystkie wartościowe papiery i czemprędzej uciekać gdziekolwiek bądź za granicę, lecz niestety dalekim był od tego wszystkiego, co działo się w jego domu.

Panna Sydonia więc wypróżniła całą kasę, oddała akcye i papiery, mówiąc do dyrektora banku:

— Proszę to wszystko zrealizować, choćby ze stratą, lecz nie ośmielaj się pan zawieszać wypłaty!

Na szczęście pomiędzy papierami znalazły się akcye kopalń złota, które w lot rozchwytane zostały. A syndykat markiza de Kermor skupywał je ciągle.

— Tem lepiej — myślała z nienawiścią panna Sydonia, którą o tem nabyciu poinformował dyrektor. — Tem lepiej! Niech kupuje wszystko i on i jego przyjaciele i ten nędznik Delrue. Sami nie wiedzą, jak szybkimi krokami biegną ku ruinie zupełnej!

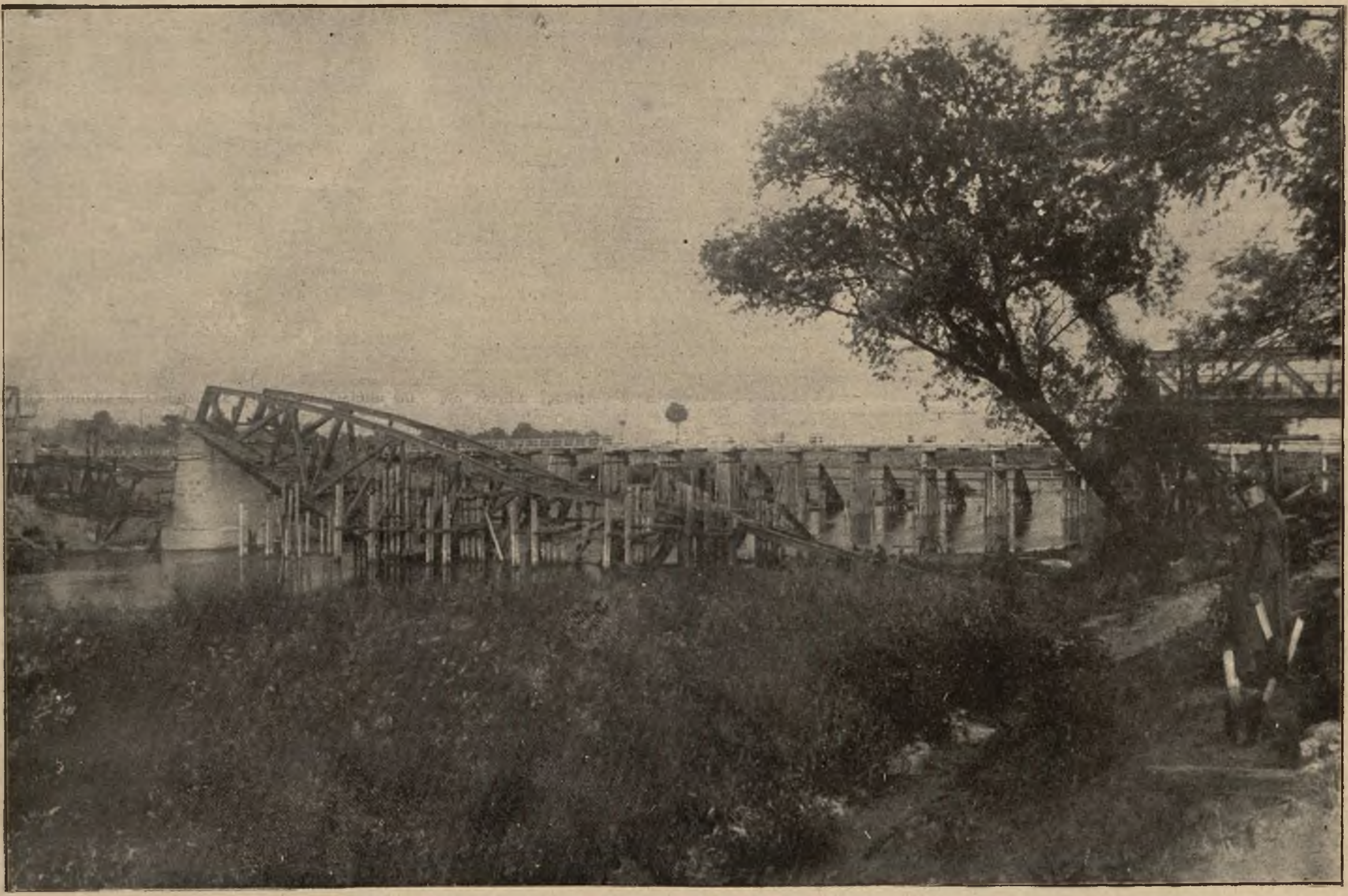
Panna Sydonia myliła się jednak. Stumilionowy jej posag przechodził z bulwaru Hausmanna do pałacyku przy ulicy de Beotie bez żadnej nadziei powrotu. Niewiadomem było tylko, czy rozgorączkowany i pragnący zaciętej walki markiz de Kermor doprowadzi plan swój do ostatka, nie obliczając skutków, czy też w samą porę potrafi się w połowie drogi zatrzymać.

Great Allan.

Henryk de Kermor tymczasem na parowcu Cap-Hamburg podążał do Afryki, będącej teraz jedynym celem jego i zbawieniem. Przyjaciel jego de Sannuville dumnym się czuł, że potrafił go namówić do tej niespodziewanej podróży, lecz Allan, „król żelazny“, jak go nazywano, bardziej przewidujący i ostrożny, uśmiechał się tylko tajemniczo i badał wytrwale swojego młodego towarzysza. Po pewnym czasie opinia jego ustalona została. Mógł liczyć na Henryka de Kermor, gdyż poznał w nim człowieka wielkiej wiedzy i silnego charakteru.

Przed zaangażowaniem się w tę podróż rozpatrzył on sumiennie plan cały. Wyłożył Amerykanimowi jasno i dobitnie zamiary swoje wszystkie, tyczące się kolonizacyi. Przedsięwzięcie to było bardzo kosztowne, ale rezultaty pokryć mogły wszelkie ryzyko. Trzeba było przedewszystkiem poznać dokładnie ludność tubylczą i zjednać ją sobie, następnie założyć linie kolei francuskiej, zamiast być zależnym od linii belgijskiej.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Obrazki wojenne: Zburzony most pod Radymnem.



Daremna ofenzywa włoska: Austryacki moździerz 30·5 centymetrowy w czasie walki na terenie włoskim.

Kronika tygodniowa.

Zanim wywiążę się z danej Szanownym Czytelnikom w poprzedniej kronice obietnicy i poświęcę kilka słów ciepłych przyjęciu powracających do Krakowa uchodźców wojennych, pozwolę sobie przedtem wspomnieć o świętej Barbarze i kłopotach kronikarskich.

Bo i któż ich nie ma? Kronikarz ma osobiste i urzędowe, te ostatnie są daleko przykrzejsze i o nich też będzie mowa.

W dniu 4. grudnia obchodziliśmy uroczystość świętej Barbary, panny i męczenniczki, a ponieważ żyje dziś wielu Wołodyjowskich, mających swe ukochane Basie, hucznie też dzień ten obchodzono tu i ówdzie, zwłaszcza, że od pierwszego niedaleko jeszcze odbiegliśmy, więc też ten i ów ma jeszcze fantazyę, czując w kieszeni trochę koron i halerzy. Najgorzej na imieninach wychodzi z zasady każdy Sylwester, święto jego Patrona przypada bowiem w ostatnim dniu miesiąca, kwartału i roku, więc wówczas, kiedy każdy porządny człowiek (z wyjątkiem naturalnie kamieniczników) jest z reguły zupełnie goły.

Swięta Barbara ma jednak i inne, nazwijmy je meteorologiczne znaczenie. Uczyły nas babki, matki i ciotki, że „jeżeli Barbara po lodzie, to Boże Narodzenie po wodzie“ i odwrotnie.

Te przepowiednie dawniej się podobno z zasady spełniały, teraz przecież, o ile moja pamięć sięga, z dziwną regularnością zawodzą, czemu ja się jednakowoż nie dziwię, gdyż już mędrzec Pański powiedział, że kobietom wierzyć nie należy.

Otóż w bieżącym roku święta Barbara była po wodzie, na ziemi błoto, z góry kapało także, cieszymy się więc nadzieją, że Boże Narodzenie będzie zato po lodzie, o ile tam w górze nie zostaną wydane tymczasem inne dyspozycye.

Czekamy już na zawarcie pokoju, możemy przy tej sposobności poczekać równocześnie i na mróz, a cierpliwości chyba nikomu w tych czasach nie braknie.

Tyle miałem powiedzieć o świętej Barbarze, teraz przechodzę do kronikarskich kłopotów „z urzędu“.

Przedewszystkiem więc, choć delikatnie przymawiałem się w swoim czasie, święty Mikołaj zupełnie o mnie zapomniał, a i Czytelnicy nad mojemi słowami przeszli widocznie do porządku dziennego. Prezentu żadnego nie otrzymałem, jeden tylko obszarnik obiecał mi indyka, ale dopiero, gdy się wypasie, wiem zaś, co znaczy taka obietnica, więc nawet o niej nie myślę.

A tak „roiłem, marzyłem, sny złote goniłem“. Nie dogoniłem ich widocznie, prócz bowiem fasyi do wymiaru podatku osobisto dochodowego na rok 1915 i nakazu zapłaty zaległego z roku 1914 podatku żadnego innego w tym czasie prezentu nie otrzymałem.

Ha, trudno! — powiedziałem sobie — przecież z tego powodu nie będę sobie życia odbierał, bo ono więcej warte...

Zbliża się zresztą czas świętalny, a z nim i różne loterye spożywcze na cel dobroczynny, może bodaj teraz uda mi się za tanie pieniądze wygrać jakiego dobrze już skruszałego zająca, który żywot swój zakończył na uwiąd starczy, lub flaszkę płynu kwaśno-gorzkiego, nie wiem dlaczego nazywanego winem.

Takiem winem przyjmuję zwykle mego gospodarza, gdy po Nowym Roku przychodzi upominać się o zaległy czynsz. Staropolska gościnność nie pozwala mi ograniczyć się na jednym kieliszku, leję więc w niego, co się zmieści, a on pije, bo to nic nie kosztuje. Potem mam długi czas spokój. Każdą taką wizytę odchoruje i narzeka, że nie wie, co mu też mogło zaszkodzić, gdyż on prowadzi tak regularny żywot.

On nie wie, ale ja wiem i dlatego z czystem sumieniem loteryę z takiem winem uważam za dobroczynną w całem tego słowa znaczeniu.

Czy jednak, przy mym pechu, wygram co na loteryi spożywczej, to pytanie, które spać mi nie daje. Wsypałem do łóżka już z pół kilograma proszku perskiego, ale i to nie pomaga, widocznie środki nasenne nie działają w mym wieku.

A ile to kłopotu ma człowiek z Czytelnikami! Niech tylko pokażę się, czy to na ulicy, czy w jakimkolwiek lokalu, znajdzie się zawsze jakiś interpelant, który pyta:

— Panie kochany! Czy to pan o mnie pisał w ostatniej kronice?

— Skądże znowu! — ja mu na to. — Ja, jeśli piszę, to tylko tak sobie, ogólnie... Osób nie dotykam nigdy...

— Bo ja myślałem, że to o mnie... Nawet żona mi to mówiła.

— A z czego pan wnosi, że to właśnie o panu?

— No... przecież mam kamienicę, procesuję się z lokatorami, chodzę we futrze i barankowej czapce..

— Panie! Takich jest więcej! Ja sam znam osobiście ze dwie kopy podobnych szczęśliwców.

— A jednak ja jestem pewny, że pan mnie miał na myśli...

Inny znowu widzi się odbitym, jak w zwierciadle, w czem innem i pyta skromnie, czyby przy tej sposobności nie dało się umieścić jego portretu, pod warunkiem przecież, że będzie za to do śmierci otrzymywał całkiem gratis „Nowości Illustrowane“.

Wywijam się, jak mogę, odpowiadam na wszystkie strony, czasem przecież zabije mi ktoś takiego klina w głowę, że ani rusz dać sobie radę z odpowiedzią.

Ot, niedawno zapytał mnie pewien facetus:

— Drogi panie!... Więc to pan jest autorem tych cudownych kronik?... Jakże się cieszę! A ja byłem pewny, że to pański brat nieboszczyk...

Cóż było na to odpowiedzieć? Nie puściłem ani pary, on pokiwał głową i odszedł, widziałem jednak po jego myślącej twarzy, że rozważał:

— On, czy też jego brat nieboszczyk?...

Albo jak te baby człowiekowi dokuczają! Kilku z nich ubzdurało się, że kronikarz musi być kawalerem, gdyby bowiem był żonaty, nie zdobyłby się na tyle odwagi, by zdradzać publicznie tajemnice domowego życia. Dowiadują się więc z boków, z przodu i z tyłu o mem *curriculum vitae* i nie dają mi w ten sposób spokoju, zwłaszcza, że Weronisia jest ogromnie o mnie zazdrosna, i ilekroć się dowie o czemś podobnem, zaraz mnie podejrzywa, choć w danym wypadku jestem niewinny, jak nowonarodzne dziecię...

Kochane moje Panie! Czyż, gdybym wiódł żywot kawalera, czyli tak zwanego sprośnego samożyjca, znałbym się tak na tych *arcanach* małżeńskiego żywota?... Musiałbym chyba być czyimś przyjacielem domu, a na to mi znów nie pozwala wysoko u mnie rozwinięte poczucie moralności i obowiązki, jakie mam wobec Boga i ludzi. Jeśli się tylko sposobność nadarzy, postaram się o to, by „Nowości Illustrowane“ umieściły portret mój i mej dozgonnej towarzyszki życia. Chodzi tylko o to, by się sposobność zdarzyła. Srebrne wesele już było, na złote chyba poczekamy.

Proszę mi jednak wierzyć, że jestem żonaty i mógłbym nawet uchodzić za wzór małżonka, dmucham bowiem bez obcej pomocy w ognisko domowe, ile mi sił starczy... I nie zarzekam się wcale, że gdyby tak Weronisia ten padół płaczu przedemną opuściła (daj jej Panie wówczas wieczny spoczynek!), kto wie, czy jeszcze nie kopnąłbym się po raz drugi pod małżeński pantofel, choć jak powiadają, wdowiec, żeniący się po raz drugi, nie jest godzien tego szczęścia, jakie go spotkało, gdy pierwszą swą żonę odprowadzał na Rakowice.

Inny jegomość znowu pisze:

„Z własnego życia wnosząc, jestem prawie pewnym, żeś Pan jest kawalerem. Gdybyś był żonaty, jak nie przymierzając ja, nie miałbyś Dobrodzieju tej fantazyi, pisałbyś, co najwyżej, utwory nastrojowe...“

Odpowiedziałem mu mniej więcej w ten deseń, że ja temu nie jestem winien, iż mnie matka natura obdarzyła dobrym humorem, co jest zresztą tylko objawem zdrowia i należytego funkcyonowania wszelkich organów wewnętrznych. Można tu mówić także i o dziedziczności, jak bowiem przekonuję się z dokumentów szlacheckich, ś. p. Zagłoba był ciotecznym szwagrem stryjecznej bratowej nieboszczyka wuja mojej ś. p. prababki. Także i moja Weronisia pochodzi z bardzo krotochwilnej rodziny, choć więc siedzę pod jej pantoflem, wcale mi tu wesoło. Zresztą pan fizyk nakazał surowo, że nawet wówczas, gdy nękają cię przeciwności życiowe, nie powinieneś tracić fantazyi, bo w przeciwnym razie pójdziesz do ula, jako roznoszący zarazę! Żołądkowców i hipochondryków powinno się tępić tak samo, jak pchły, wszy, pluskwy, myszy i szczury...

Oto garść mych kłopotów „urzędowych“, o domowych nie wspominam... Chyba każdy z Czytelników, który ma rodzinę, wie, ile ich człowiek napotyka, zwłaszcza w tym okresie przedświątecznym. Potrzeba tego i owego, a skąd tu wziąć, gdy w kieszeni, prócz dziury, nic nie znajdziesz?

I to właśnie, według mnie, nazywać się powinno filozofią życia, jeśli kto tym kłopotom nie ulega, ale mężnie się z nimi boryka i stawia im czoło. Takiego zahartowanego męża nie chwyci się ani cholera, ani żaden inny tyfus i dlatego to powiadam, że pan fizyk miał racyę, upominając Krakowian: „Mimo przeciwności życia, nie upadaj nigdy na duchu“.

Wobec tego i ja też nie upadnę, choć widzę, że na wywiązanie się z obietnicy i opis przybycia i powitania uchodźców miejsca bardzo mało mam do dyspozycyi.

A nie smucę się dlatego, iż powrót ewakuowanych powtarza się ciągle. Prawie codzień przybywają oni mniejszemi i większemi grupkami, czy więc zabiorę głos w tej sprawie dziś, czy za tydzień, zawsze będzie to aktualnem.

Przyznam się nadto, że wolałbym temu tematowi dać spokój, zwłaszcza ze względu na to, iż w grę wchodzą tu kamienicznicy, którzy i tak obrazili się już na mnie na śmierć i życie. Oświadczyli mi niedawno całkiem otwarcie, iż, jeżeli ich nie zostawię w spokoju, na razie nie wynajmie mi żaden mieszkania, a później, choćbym nawet miał i trzy kamienice, nie przyjmą mnie do swego grona.

A jak tu o nich nie wspomnieć, skoro oni właśnie najbardziej się cieszyli z powrotu uchodźców, spodziewając się, że ściągną z nich zaległe czynsze... Jeden z nich chwalił się publicznie, że nie tylko żadnego lokatora dotąd nie zaskarżył, ale owszem z własnej kieszeni dawał im w ciężkich chwilach nawet zapomogi, by z głodu nie pomarli (...dopóki się proces o czynsz z nimi nie skończy... przyp. zecera), ja tam jednak nie bardzo w to wierzę. Właśni koledzy wyrzeklibiy się go z pewnością i po najdłuższem jego życiu postarali o umieszczenie podobizny tego dziwnego człowieka w Muzeum miejskich osobliwości.

Na dworcu kolejowym, w oznaczonym dniu, zebrało się sporo krakowskich kamieniczników w oczekiwaniu na pociąg, mający nadejść od strony Wiednia.

Gdy nadszedł, a ewakuowani zaczęli się powoli gramolić z wozów, ten i ów zrobił zaraz przegląd, przeważnie jednak pospuszczali nosy na kwintę, gdyż przybyły przeważnie same kobiety i dzieci, mężczyzn bardzo mało, a wszystko taka biedota, że z żadnego czynszu zaległego nie wygnieciesz, choćbyś użył prasy hydraulicznej. Na lokatorów nadają się zaś o tyle, o ile gospodarz zrezygnuje z góry z pobierania czynszu.

No, a taki chyba się nie znajdzie.

Myślałem, że bodaj święty Mikołaj przyniesie nam pokój, zawiodłem się. Z pewnem zadowoleniem przecież stwierdzić muszę, iż nie zważając na zimę i przepisy zoologiczne, jaskółki pokojowe pokazują się coraz częściej, zwłaszcza od chwili, gdy królestwo serbskie przestało faktycznie istnieć, a posiłki angielsko francuskie znalazły się w bardzo przykrem położeniu.

Najważniejsze, że Anglikom zaczyna już dokuczać brak monety, bez której wojny prowadzić się nie da. Wnoszę to z telegramów ostatnich, które donoszą, że w Anglii pojawiają się głosy, aby ministrowie zrzekli się dobrowolnie części swych pensyi, a posłowie poborów, nadto, aby zabierano robotnikom pewien procent z zarobków i lokowano go w pożyczce wojennej.

I znów się zastrzegają sfery rządowe, że ma się to stać dobrowolnie, ale dodają zaraz, że gdyby się przypadkiem nie stało, przeprowadzi się to z urzędu.

Rzednie im też powoli mina. Widzę to i u mojego Lorda (stare psisko, już na emeryturze), który stracił zupełnie dawną swą fantazyę i wyje z żałością, ilekroć słyszy odczytywane głośno telegramy o „sukcesach“ swych angielskich pobratymców.

Biedne psisko, serdecznie mi go żal.



Oszczędzajcie mydło! Koniecznem będące napomnienie to nie potrzebuje niepokoić naszych kobiet, albowiem jest przy użyciu Schichta extraktu do prania Pochwała gospodyń dana możność, że nie potrzebując troszczyć się o to, iż bielizna sama lub wygląd jej ucierpią, na mydle sporo zaoszczędzą. Niezawodny ten proszek mydlany pomaga przy praniu zaoszczędzać nie tylko mydło, pracę i czas, ale także i pieniądze. Nabyć go można wszędzie.

Zagadki do nagrody.

Łamigłówka.

Ułożył F. Wiewiórski, Kraków.

Z podanych liter ułożyć zdanie, które, czytane wprost i wspak, brzmi jednako:

i, k, k, o, o, o, o, p, p, t, t, t, t, n, n.

Grzebieniówka.

Ułożył F. Wiewiórski, Kraków.

Kwadraty i kreski zastąpić w ten sposób literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd poziomy utworzy nazwisko wodza Gallów, który walczył z Cezarem

□ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □
— — — — — — —
— — — — — — —
— — — — — — —
— — — — — — —

Znaczenie wyrazów: 1. Miasto we Włoszech. 2. Inaczej pozostałość 3 Kraj, z którego pochodził Heród Wielki. 4. Jenerał angielski, zabity w wojnie z powstańcami w Sudanie 5. Miasto we Włoszech południowych. 6. Imię męskie. 7. Starożytny król perski.

Szarada.

Ułożył Adam Blondynek, Kraków.

Idę do lasu. *Pierwsze-pierwsze* słyszę,
A mój pies, *drugi-trzeci* bez litery,
Skacze do drzewa, w złości ledwie dysze,
Widocznie złapać ma ją zamiar szczery.
Całość na Brackiej pod dziesiątym była,
Tam się w drewnianych, dużych pakach kryła

Okienko.

Ułożył F. Wiewiórski, Kraków.

Podane litery uporządkować w ten sposób, aby utworzyły trzy wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym.

a a a g g
g i i
n n n n o
o o o
ó ó r w w

Znaczenie wyrazów: 1. Miasto na Wołyniu. 2. Wóz kolejowy. 3. Komenda.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył Z Szymanek, Nowy Sącz.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Z czego gąska je siano, pył?

Równanie.

Ułożył R. Królicki, Krościenko n. D.

Odpowiednio odgadnięte wyrazy mają mieć każdy tyle zgłosek, ile ich wykazuje mianownik. Z każdego należy wyjąć jedną syllabę, a otrzymamy w pierwszem równaniu pseudonim polskiego powieściopisarza, w drugiem tytuł jego utworu

$$\frac{a}{3}+\frac{b}{4}+\frac{c}{3}+\frac{d}{2}+\frac{e}{2}=x.$$

$$\frac{f}{2}+\frac{g}{3}+\frac{h}{5}+\frac{i}{2}+\frac{j}{3}=y.$$

Znaczenie wyrazów: a) Taniec hiszpański b) Rodzaj walki. c) Rzeka w Galicyi. d) Napój. e) Gra w karty f) Żołnierz turecki g) Podatek. h) Zabieg lekarski. i) Miasto w Rosyi. j) Ptak.

Trójkąt magiczny.

Ułożył M Frankiewicz, Kraków.

Kwadraty i kreski zastąpić w ten sposób literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu Pierwszy rząd pionowy i poziomy utworzy nazwę dnia poświęconego pamięci zmarłych.

□ □ □ □ □ □ □ □
□ — — — — — —
□ — — — — —
□ — — — —
□ — — —
□ — —
□ —
□

Znaczenie wyrazów: 1 Szukany wyraz. 2. Góry w Europie. 3. Zły duch 4. Gorąca woda. 5. Uroczysta msza święta. 6. Bóg germański. 7. Przyimek. 8. Samogłoska.

Szarada.

Ułożył H. M., Kraków.

Miło, gdy za trudy na wiosnę i w lecie,
Jesień nam po żniwach słodki owoc *trzecie,*
Kiedy *wtóre-pierwsze* zwieszone ku ziemi
Winorośl obciążą jagody pełnemi,
Gdy człek je zbierając podnosi się, zgina,
Ciężkiej jego pracy to *cała* jedyna.

Kwadrat magiczny.

Ułożył H. M., Kraków.

Podane cyfry tak uporządkować, aby w kierunku pionowym, poziomym i wzdłuż obu przekątni dały sumę 34.

1	2	3	4
5	6	7	8
9	10	11	12
13	14	15	16

Zadanie do przestawienia.

Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

O! O! Francuz Ito mył setkę.

Bilety wizytowe.

Ułożył H. M., Kraków.

Z liter na biletach ułożyć godność, względnie zawód poszczególnych osób.

SZYMON RANA

BOL. ORDAGI

MAREK O. ON. BYKOW.

LAERT STEFAN ULRY

ANT. I. APIS.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *A. Gruszeckiego:* **Królewiacy.** Powieść współczesna.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 48.

Logogryf:

P e **j** s a ż
o g **ó** r e k
r e **z** e d a
r z **e** p a k
R a **f** a e l
t u **m** a k i
t r **a** p e z
p a **s** t o r
p o **k** ł a d
p ł **o** t k a
s u **f** l e r
s a **f** i a n

Zadanie do przestawienia: Dla towarzystwa dał się cygan powiesić.

Trójkąt magiczny:

L a n g i e w i c z
A s t r a c h a n
N o w o g r ó d
G w i a z d a
I r k u c k
E p o k a
W a ł y
I d a
C o
Z

Zadanie konikowe: Między krytykiem a kogutem ta jest różnica, że kogut grzebie w kupie śmieci, a gdy znajdzie ziarno, pieje i zwołuje kury, zaś krytyk grzebie nieraz w kupie ziarn, a gdy znajdzie tam grudkę błota, zaraz woła i wszystkim ją pokazuje.

Szarada: Karta chlebowa.

Logogryf:

J e n a
O s m y
Z e r o
E r y k
F l e t
M e w a
A m b o
S k r a
K a d ź
O l e j
F i g a
F o r t

Zadanie do przestawienia: Kto Boga odstąpi, temu czart rady nie skąpi.

Bilety wizytowe: Romansopisarz. Miniaturzysta. Majster szewski Błazen nadworny. Adwokat przysięgły.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp.: F. Horak Oświęcim, W Rachwalski Bochnia, K. Ciesielski Poznań, S. G-l ński Nowy Sącz, J. Rogalski Radłów, S. Krzyżanowski Podgórze, H. Radziński Sucha, J. Broda Kraków. M. Planecka Kraków, F. Gebhardt Kraków, J. Niemojewski Zakopane, S. Karczmarski Poddębie, M. Klappholz Praga, J. Strojek Podgórze, W. Bogusz Zabierzów, A. Gross Kraków, J. Szewioł Prądnik, S. Ramza Wieliczka, M. Bański Liszki. J. Jakubowska Kraków, J. Wilczkiewicz Wiedeń, D. Sedyńska Zakopane, J. Kopczyńska Bierzanów, R. Knapik Kraków, W. Świrski Zakopane, Z. Rogozińska Kraków, S. Medyński Zakopane, J. Krawecki Bochnia, Cz. Lipiński Zakopane, M. Domagalska Kraków, J. Łopatkiewicz Wiedeń, Jan Górka Krakow, J. Ciszewski Peszt, W. Błoński Kraków, J Buczyński Kraków, J. Jahoda Cieszyn, M. Sperling Wiedeń, W. Kadulska Kraków, W. Krzywicki Praga K. Reichenberg Cieszyn, W. Potocka Kraków, S. Kalinowska Podłęże, T. Nikiel Chrzanów, A. Bandrowski Zakopane, K. Leszczyński Wiedeń, E. Laskowski Jordanów, T. Rzepecki Poznań, S Kamocki Wiedeń, H. Ungar Wiedeń, R. Sadowski Kraków, J. Czarkowski Poznań, J. Gramski Wadowice, S. Sokołowski Kraków, K. Błachowski Kraków, K. Zegartowska Bogucice, H. Obst Praga, I. Brzostowski Chrzanów, R. Królicki Krościenko n. D., M. Zielińska Przemyśl, H. Rosenbaum Lwów, Z. Szymanek Nowy Sącz, H. Królicki Nowy Sącz.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **A. Gross, Kraków.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Głosy publiczne.

Podziękowanie:

Wielmożnemu Panu **Adamowi Jasińskiemu,** doktorowi wszech nauk lekarskich w Krośnie, za zupełne i skuteczne wyleczenie ciężko chorej naszej córki, oraz za nadzwyczajną troskliwość w pielęgnowaniu jej, składamy na tej drodze nasze najgorętsze podziękowania.

Antoni i Marya Krzyżakowie.



Wszędzie do nabycia!

Schichta-Pranie — Wojenne-Pranie

najtańszy, najochronniejszy i najskuteczniejszy sposób prania:

Namocz bieliznę z ekstraktem do prania **„Pochwała gospodyń"** przez parę godzin albo przez całą noc. Pierz potem jak zwykle dalej. Tylko trochę mydła — najlepiej mydła Schichta, z marką „Jeleń" — potrzeba, by najśliczniejszą bieliznę otrzymać.

Zaoszczędza pracę, czas, pieniądze i mydło.

Ominol jest najlepszym środkiem dla mycia rąk i szorowania w kuchni i w domu.

NAFTA i OLEJE MINERALNE

do Galicyi i Królestwa Polskiego oraz artykuły techniczne i elektrotechniczne dla wszelkich gałęzi przemysłu poleca

IGNACY FENDLER
Kraków, ul. Straszewskiego 2, parter.

Dobre instrumenta

muzyczne, po niskich cenach.



Skrzypce wielkości 4/4 kor. 6·50, 7·20, 8·20. Smyczki kor. —·90, 1·10, 2·—. Harmonie kor. 3·30, 5·—, 11·—. Harmoniјki ustne kor. —·60, —·80, 1·—, 1.40. Cytry, okaryny, klarnety, gramofony, dostarcza w wielkim wyborze muzyczny dom wysyłkowy

HANNS KONRAD
c. k. nadworny dostawca w Brüx, Nr. 1288 (Czechy).

Wysyłka za zaliczką. Bez ryzyka! Zamiana dozwolona. Katalogi główne darmo i opłacone.



500 koron

płacę każdemu, jeżeli

— nagniotki —

brodawki, skórę zrogowaciałą nie usunie w trzech dniach z korzeniami bez bólu **Ria-Balsam.** Cena 1 słoika z listem gwarancyjnym K 1·—, 3 słoiki K 2·50, 6 słoików K. 4·50.

Kemeny, Koszyce (Kassa), I. fach pocztowy 12—93, Węgry.

WYROBY KRAJOWE

Rok założ. 1880. **D. Béze** Rok założ. 1880.

Zakopane, Krupówki.

WIELKI WYBÓR PERFUM.

Pamiątki patryotyczne. Wielki wybór biżuteryi francuskiej i fantazyjnej. **MOZAIKI.** Prawdziwe granaty.	Wyroby rzeźbione Zakopiańskie. Wyroby **skórzane.** Wielki wybór **torebek** damskich.	Wielki wybór **ZABAWEK. Lalki** Krakowianki. **Laski i toporki.** Kartki korespondencyjne illustrowane.

KINO-WANDA

przy ulicy św. Gertrudy L. 5

Co trzeci dzień nowy program.

Przedstawienia trwają w dnie powszednie: od godziny 4-tej do 11-tej, w niedziele i święta od godziny 3-ciej do 11-tej wieczór.

1

(Wielu nie wie), że ciężki stolec i zatwardzenie mogą być przyczyną bolu głowy, gnuśności, zmęczenia i złego humoru. Czuje się natychmiast znowu świeższym, ruchliwszym i do pracy sposobniejszym, gdy się ulgę sobie sprawi Fellera łagodnie przeczyszczającymi pigułkami rumbarbarowymi z marką „Elza". Ten znakomity środek przeczyszczający, który wzmacnia żołądek i podnieca apetyt, zasługuje bezwarunkowo na pierwszeństwo przed drażniącymi środkami przeczyszczającymi, które kiszki osłabiają. Zamawia się wprost 6 pudełek franko za 4 kor. 40 hal. u aptekarza E. V. FELLERA, Stubica, plac Elzy Nr. 127 (Kroacya). (e)

Jedyny w Krakowie, który posiada własny wyrób trumien

Zakład pogrzebowy „Concordia" Jana Wolnego

Kraków, Plac Szczepański L. 2 (dom własny) — Telefon Nr. 331.

Wojenny zegarek i budzik



Z podwójnymi portretami JCM. ces. Franciszka Józefa I. i ces. Wilhelma II, Viribus unitis 1914 lub z nowymi portretami cesarzy Viribus unitis 1915, lub na pamiątkę świat. wojny 1914 dla rannych z wygrawirowaną datą w stalowej lub niklowej schowce z dobrym werkiem Anker K 5·—, z skórzaną branzoletką K 6·—, z tanią tarczą świecącą K 7·—, płaski K 8·—, z radiową tarczą K 10·—. prawdz. srebrny K 12·—, 14-karat. złoty K 100·—, budzik kieszonkowy niklowy lub stalowy K 18·—, z radiową tarczą K 26·—, tani nikl. zegarek K 3·—. Wojenny łańcuszek K 1·—, Wojenny budzik „armata" budzi bardzo głośno K 6·—, Wojenny budzik „bęben" bębni marsza generalskiego K 7·—, tani budzik K 3·—. 3-letnia gwarancya. Wysyłka za zaliczką przez **I-szy skład zegarków wojennych**

Max Böhnel, Wiedeń, IV. Margaretenstrasse 27/62.

Oryginalny fabryczny cennik darmo.

Drukarnia D. E. Friedleina
w Krakowie, ul. Kazimierza W. 95. Tel. 479

zaopatrzona jest w wielką ilość czcionek różnego kroju i maszyny pospieszne. Wykonywa wszelkie roboty w zakres drukarstwa wchodzące: broszury, cenniki, katalogi, cyrkularze, afisze, zaproszenia ślubne, tabele i t. p. szybko i starannie, po cenach umiarkowanych.

Najnowsze pisma z modami:

Favorit 90 hal.
Elite 2 K 40 hal.
Mode für Alle 1 K 30 hal.

wysyła za zaliczką lub poprzedniem nadesłaniem należytości **Księgarnia D. E. Friedleina, Kraków-Now. Rynek 17.**

Przyjmuje się również prenumeratę na wszystkie pisma z modami.

Znane

Ziółka z Gór Harcu

Cena K 1·— i K 2·—
poleca

Czternasta apteka

Mra **W. Radwańskiego w Krakowie,** ul. Lubicz (obok dworca kolei). Wysyłka pocztą odwrotnie.

Miód

zastępuje drogie masło. Bańka pocztowa 5 kg. 10 K. Wysyłka za pobraniem. Cenniki niemieckie lub czeskie wysyła **Fr. Wenzel, Baumschütz Ołomuniec 70.**

5 halerzy



kosztuje karta korespondencyjna, zapomocą której zamawiać można mój główny katalog z 4000 odbitek

Pierwsza fabryka zegarków
Hanns Konrad
c. i k. nadw. dostawca w Brüx Nr. 1289 Czechy

Niklowy zegarek Anker Kor. 3·80, lepszy K 4·20. Zegarek Rem ze starego srebra Kor. 4·80, ze szwajcarskim werkiem Anker K 5·—. Pamiątkowy zegarek wojenny K 5·50. Kieszonkowy zegarek Radium K 8·50, z budzikiem K 24·50, srebrny zegarek K. 8·40. Niklowy budzik K. 2·80. Zegar ścienny K 3·40, zegar z kukułką K. 7·85, zegar z wachadłem K. 9·—. Na każdy zegarek 3 letnia pisemna gwarancya. Wysyłka za zaliczką. Bez ryzyka! Wymiana dozwolona lub zwrot pieniędzy!

Potrzebny uczeń
do
drukarni i kliszarni
Nowości Illustrowanych.

C. SZCZURKOWSKI
Kraków, Grodzka 2

poleca:

Wełny, Włóczki do robót drutowych, Wyroby z wełny, to jest **Pończochy,** Rękawiczki, Cwetery i t. p.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor.: M. Lipińska. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego.